Rok III. **Wrzesień 1918.** **Nr. 9**

ROK POLSKI

CZASOPISMO POSWIĘCONE ZAGADNIENIOM ŻYCIA NARODOWEGO.

WYCHODZI W KRAKOWIE RAZ NA MIESIĄC.

TREŚĆ:

Prenumerata roczna 24 kor., za półrocze kor. 12. — Cena numeru pojedynczego 2 kor. 50 hal. (2 marki 50 fen.).— Prenumeratę przyjmuje Bank Oszczędnościowy w Krakowie, Mały Rynek 4. (Czek P. K. O. 139.429.), gdzie należy zwracać się w sprawach redakcyjnych.

Adres administracyi: Ulica Mikołajska 13, Drukarnia Związkowa. — Zastępstwo na Rzeszę niemiecką: Księgarnia M. Niemierkiewicza w Poznaniu.

Wrzesień 1918. ROK POLSKI Rok III. Nr. 9.

Zachodni Słowianie a Polska.

W obecnem stadyum wojny nietylko poznajemy, z każdym dniem coraz lepiej, zarówno naszych wrogów jak i przyjaciół, lecz również odczuwamy coraz silniejszą potrzebę, by wojenne sympatye i łączności interesów przedłużyć na czas powojenny. Krótko mówiąc, zjawia się coraz silniejsza potrzeba pozytywnego określenia naszej polityki zagranicznej. Problemy tej polityki są nieraz ważniejsze od zagadnień wewnętrznych; w każdym razie polityk, który wpatrzony wyłącznie tylko w wewnętrzne życie narodu, zapomni o jego stosunku do innych, jest z góry skazany na niepowodzenie. Sprawy te są szczególnie trudne i szczególnie doniosłe dla nas, gdyż znajdziemy się w zupełnie nowej sytuacyi, w której oryentowania się nie ułatwi nam ani tradycya, ani ustalone szablony, w której całe nasze życie zewnętrzne trzeba będzie przebudować od podstaw.

Jest już dogmatem, że naród winien w polityce liczyć przedewszystkiem na własne siły, a nie na pomoc obcą. Ale chodzi o to, by te siły jak najlepiej wyzyskać, by je ulokować w najkorzystniejszej konstelacyi międzynarodowej. W dzisiejszych warunkach zaostrzonego światowego współzawodnictwa, żaden naród nie może się zasklepić w sobie i niczem innem się nie zajmować, tak jak Robinson na odludnej wyspie. Jedna tylko potężna W. Brytania mogła w swojej zagranicznej polityce pozwolić sobie na „splendid isolation“ — i ona tylko na czas bardzo krótki. Choćby losy wojny przyszłość naszą ukształtowały jak najpomyślniej, znajdziemy się słabi, mimo wszystko, obok silnych sąsiadów, których

żądze zdobywcze mogą odżyć wcześniej czy później. Wprawdzie mówi się wiele o przyszłym Związku narodów, o nienaruszalności traktatów pokojowych, wprawdzie nie łatwo w przyszłości odważy się ktoś na to, by naruszyć gwarancye prawa międzynarodowego, ale ostrożność nie zaszkodzi. Lepiej także i na własnej drodze szukać zapezpieczenia dla swoich praw. Jeden z dawniejszych pisarzy francuskich, Odysse-Barrot obliczył, że począwszy od 15-go stulecia przed Chr., złamano 8397 traktatów pokojowych, których wieczyste trwanie zaprzysiężono, a które mimoto trwały przeciętnie po dwa lata. Pamiętajmy o tem, że nie mieszkamy daleko od narodu, który obok wielu innych specyalności, wyspecyalizował się także w naruszaniu umów międzynarodowych.

Słowem, musimy szukać sprzymierzeńców. Jest rzeczą zupełnie naturalną, że tych sprzymierzeńców poszukamy między zachodnimi Słowianami. W dobie, w której zaczniemy żyć własnem życiem, zwrócimy się przedewszystkiem do tych, którzy przez długie lata byli towarzyszami naszej niedoli, którzy cierpieli srodze pod tym samym obcym naporem.

Nasze poprzednie związki z Słowiańszczyzną były bardzo luźne, a przytem rwały się nieustannie. Różne przyczyny wywoływały ten stan rzeczy. Nie mogliśmy prowadzić naszej zagranicznej polityki jako cały naród, musieliśmy się przystosowywać do warunków bytu pod różnemi panowaniami, nic dziwnego więc, że ta polityka nie miała ani ciągłości, ani zbyt wyraźnego oblicza. Przedewszystkiem przeszkodę stanowiła Rosya, która przez swoją chęć panowania szkodziła więcej, niż kto inny, zbliżeniu się do siebie narodów słowiańskich. Dzisiaj to niebezpieczeństwo już minęło. Rosya wcześniej czy później dźwignie się z upadku, ale wejdzie już w innych warunkach do czynnego życia międzynarodowego. Narody słowiańskie będą miały już wyraźną fizyognomię polityczną. Zbliżą się do siebie, ale na zasadzie równorzędności i wzajemnego poszanowania praw zwierzchniczych. Będzie to przymierze niepodległych państw, a nie chronienie się niedojrzałych dzieci pod skrzydła potężnego opiekuna. Dzisiaj już minęła epoka, w której Kollar mógł wołać: „O Sławio, Sławio! Sprawcie więc radość waszej matce, wy Rosyanie, Czesi i Polacy, i żyjcie zjednoczeni w jednej wspólnej ojczyźnie:...“

Za nawiązaniem przez Polaków jak najściślejszych węzłów z Czecho-Słowakami i Jugo-Słowianami przemawia wiele potężnych

argumentów. Najpierw wspólność interesów politycznych. Wystąpiła ona zupełnie wyraźnie w ciągu tej wojny. Okazało się, że wtedy, gdy zyskiwała sprawa polska, zyskiwała i sprawa Czecho-Słowaków i Jugo-Słowian, i naodwrót, czynny udział Czechów w polityce międzynarodowej oddziaływał dodatnio na nasze interesy. Jesteśmy mocno wpatrzeni w nasz cel narodowy: zjednoczenie Polski w państwo niepodległe, z własnym dostępem do morza, ale nie powinniśmy zapominać, że nasze aspiracye dopiero w łączności z dążeniami czeskiemi i jugosłowiańskiemi stanowią właściwy problem środkowej Europy, bezwarunkowo najważniejszy w tej wojnie. Od jego całkowitego rozwiązania zależy zabezpieczenie światowego pokoju. Jest w interesie wszystkich wspomnianych narodów, by świat cały o tem się przekonał i jest ich obowiązkiem, by one łączną prowadziły w tym kierunku pracę. Polityki polskiej w tej wojnie nie można izolować od innych analogicznych spraw, a tembardziej nie wolno poświęcać interesów innych narodów słowiańskich dla przelotnych zdobyczy w Austryi. Winno o tem wiedzieć wiedeńskie Koło Polskie, a przedewszystkiem winien o tem pamiętać rząd warszawski, który jednak niestety jedno tylko pragnienie wysunął pod adresem galicyjskich polityków: by oni doprowadzili najszybciej do zgody z Niemcami, bo to mu ułatwi „stanowisko".

Ale zapomnijmy o tej plątaninie oportunistycznych polityków, która z dniem każdym traci znaczenie, a przyjrzyjmy się naszemu powojennemu stosunkowi do zachodnich Słowian. Odrazu zrozumiemy, że nasze zbliżenie się do nich nie ma charakteru jakiegoś przelotnego przymierza, które dziś się zawiera dla względów taktycznych, a jutro spokojnie porzuca. Wspólności tej czas nie rozluźni, a tylko ją pogłębi. Powstaniemy wszyscy na ruinach starego porządku i będzie w naszym interesie, by ten porządek już nigdy nie wrócił. Gdybyśmy uzyskali zjednoczoną niepodległą Polskę w granicach, jakich pragniemy, a wszystko wokoła nas pozostało po dawnemu, to byt jej byłby wystawiony na wiele niebezpieczeństw. Stanowiłaby ona bowiem tylko wyłom w starym systemie, który byłby zdolny, wcześniej czy później, zwrócić się przeciw nam, korzystając z bardziej pomyślnej dla siebie konjunktury światowej. Musimy mieć bliskich sojuszników, którzyby wspólnie z nami strzegli prawa międzynarodowego, którzyby nie pozwolili na najmniejszą krzywdę żadnego z uczestników. Tylko wtedy, gdy

powstanie szereg nowych państw, wyposażonych we wszelkie prawa zwierzchnicze, tylko wtedy przerwie się łańcuch wrogich interesów, któryby nas w innych warunkach otaczał ze wszystkich niemal stron. Żyjemy od zarania naszych dziejów pod naporem straszliwego „Drang nach Osten". Obecnie wierzymy, że po wojnie wróci do swoich łożysk słowiańska fala, wypychana od wieków, że zbuduje się tamę przeciw tamtemu naporowi. Ale tamę tę trzeba zbudować na całej zagrożonej przestrzeni, w przeciwnym razie wszelkie wysiłki na nic się nie zdadzą. Sami oprzeć się nie zdołamy. Dlatego musimy pragnąć przebudowy stosunków także i u naszych sąsiadów, dlatego naszem hasłem musi być: „Od Bałtyku po Adryatyk!"

Dzisiejsze sojusze i przymierza są nietylko politycznymi, lecz również i gospodarczymi związkami. Dzięki łączności gospodarczej zyskują one sobie trwałość, której nie zabezpieczą same interesy polityczne. Że ze zbliżenia Polski do zachodnich Słowian także i pod tym względem wynikną obopólne korzyści, to jest widocznem na pierwszy rzut oka. Nie chodzi tu o to, by tworzyć jakąś bezwzględnie jednolitą całość gospodarczą, aby w nazbyt ścisłym związku zatracać odrębność poszczególnych gospodarstw narodowych. Przymierza gospodarcze należy budować stopniowo, zwłaszcza narody młode, które nie są jeszcze zahartowane w światowej walce konkurencyjnej, muszą pod tym względem postępować z wielką ostrożnością. Ale mimo wszystko jest jasnem, że łączność gospodarcza, która wystąpi szczególnie w stosunku do Czechów — choć i pod tym względem nie podobna lekceważyć stosunków z Jugo-Słowianami — będzie się opierała na bardzo żywotnych podstawach. Dla Czechów Polska może być terenem, przez który będzie wiodła jedna z ich dróg do morza, zwłaszcza gdy się odpowiednio rozwinie system komunikacyjny; będzie dalej Polska terenem zbytu dla czeskiego przemysłu, tak rozwiniętego w wielu kierunkach, a Czechy dla Polski winny się stać przedewszystkiem szkołą kultury gospodarczej; tam naród nasz będzie się mógł nauczyć, że główną podstawą politycznej niezależności jest gospodarcza niezależność; że dzisiaj winien rozwinąć u siebie warstwy rzetelnie produkujące, zdolne do nowoczesnej walki o byt, a nie poprzestawać na spokojnem eksploatowaniu ziemi i zależnej materyalnie warstwie urzędniczej.

Doniosłość zbliżenia gospodarczego tych krajów można

w pełni dopiero wtedy zrozumieć, gdy się szczegółowo opisze jego podstawy, czego w tej chwili nie możemy zrobić. Ale każdemu wiadomo o tem, że nikt dzisiaj nie może marzyć o zupełnem odosobnieniu się gospodarczem od zagranicy, że musi poszukać krajów, z którymi utrzymuje się szczególnie żywe stosunki handlowe. Że w rzędzie tych krajów winny znaleść się Czechy i południowa Słowiańszczyzna, za tem przemawiają argumenty geograficzno-komunikacyjne, a także i polityczne, a roli czynnika politycznego nie podobna tutaj lekceważyć. Bardzo często decyduje on o kierunku zagranicznej polityki handlowej.

Bardzo ważnym czynnikiem zbliżenia się będzie łączność kulturalna. Można ją było uprawiać i powinniśmy ją byli uprawiać bez względu na takie czy inne losy polityki słowiańskiej. Ale obecnie nie czas już na rozpamiętywanie błędów przeszłości, możemy tylko spodziewać się, że w szybkiem tempie odrobimy zaległości w tej dziedzinie, gdyż łączność polityczna będzie sprzyjała rozwojowi stosunków w sferze kulturalnych wpływów, najbardziej nawet odległych od polityki. Pod tym względem my niejedno możemy ofiarować innym słowiańskim narodom. Gdy sobie uprzytomnimy, jakiem uznaniem cieszy się nasza literatura u Czechów i Jugo-Słowian, zrozumiemy, jak wielkie i dostępne pole do działania otwiera się przed nami. Wynarodowienie narodów słowiańskich postępowało żywo i pośrednią drogą. Wiele jednostek zachowało w pełni swoją odporność pod względem polityczno-narodowym, ale uległo nadmiernym wpływom kulturalnym znienawidzonego zresztą obcego elementu. Obca kultura, przygniatająca swymi rozmiarami i bogactwem, nie pozwalała na wydobycie rodzimych pierwiastków z głębin własnej duszy narodowej, osłabiała przez to jej odporność, przygotowywała jej duchowy podbój. Narody słowiańskie muszą rozpocząć gruntowną pracę odczyszczenia swojej kultury od szkodliwych lub niepotrzebnych obcych wpływów, a na tem polu wzajemne współżycie jest wprost niezbędne. Siła i znaczenie Niemiec, które one miały przed wojną, w znacznej mierze pochodziły stąd, że wielkie masy młodzieży obcej ściągały niemieckie zakłady naukowe. Nie brakowało wśród niej i Słowian, chociaż w ostatnich czasach nieraz doznawali oni tam upokorzeń z powodu swej odrębności narodowej. Czy nie lepiej jest, by np. polskie uniwersytety otworzyły

swoje bramy dla tej młodzieży, która już nieraz przed wojną garnęła się chętnie do nich? Ale żebyśmy pod tym względem mogli spełnić swoje zadanie, musimy mu więcej, niż dotychczas poświęcać starań, musimy naprawdę zorganizować to kulturalne współżycie z innymi Słowianami.

Widzimy więc, że którejkolwiek tylko dziedziny się tkniemy, wszędzie występuje wspólność interesów, w sposób zupełnie oczywisty.

Czy są jakie kolizye i spory? Istotnych sprzeczności niema żadnych, niema tradycyjnej zawiści, którąby trzeba dopiero wyrównywać, jak to zrobiła Anglia i Francya, niema żadnej rozbieżności życiowych interesów. Od Jugo-Słowian dzieli nas tylko dotychczasowa obojętność. Z Czechami sąsiadujemy, stosunki nasze zawsze były żywsze, zdarzały się i sąsiedzkie zatargi. Ale ognisko tego sporu skoncentrowane jest na bardzo nieznacznej przestrzeni, na Śląsku cieszyńskim. Dojdziemy łatwo do zgody na drodze obopólnych ustępstw, na zasadzie poszanowania narodowego stanu posiadania. W tym samym duchu wyrównamy naszą granicę na Spiżu, ziemi, która pierwsza padła ofiarą rozbiorów, i na Orawszczyźnie. Poza tem już nic nas nie dzieli, a tyle rzeczy łączy!

Wspólność nasza opiera się przedewszystkiem na obopólnych interesach. Wykazaliśmy w sposób chłodny, w jakich kierunkach się one z sobą splatają. Nie wprowadziliśmy w nasze rozumowania momentów uczuciowych, nie mówiliśmy nic o wzajemnych sympatyach i skłonnościach natury zupełnie bezinteresownej. Nieraz przedtem nadużywano uczuciowego pierwiastka, dlatego dzisiaj w politycznem rozumowaniu nie podobna go wysuwać na plan pierwszy. Ale nie trzeba iść za daleko w tym sceptycyzmie, nie można patrzeć na współżycie zwłaszcza pokrewnych sobie narodów jako na związek, w każdym kierunku obliczony na zimno. Interes narodowy ma w polityce zagranicznej decydujące znaczenie, ale nie znaczy to, że wszelka sympatya, wszelka przyjaźń jednego narodu dla drugiego jest tylko czczym frazesem, tylko blichtrem, okrywającym bardziej poziome zamiary. Gdy popatrzymy na dzieje z szerszego punktu widzenia, a nie przez szkła pruskiego wyrobu, zauważymy łatwo, że szlachetne, bezinteresowne porywy jednego narodu na rzecz drugiego nie zawsze szły na marne, że wiele słuszności mieli nasi ojcowie, gdy

mówili: wszędzie, gdzie się biją o wolność, biją się o Polskę. To też możemy ufać, że nasz związek z zachodnimi Słowianami stanie się nie tylko państwowym, polityczno-gospodarczym sojuszem, lecz że na jego tle rozwinie się prawdziwa trwała przyjaźń naszych narodów.

W. Karniowski.

Nadzieje na hegemona.

Wojna drutami kolczastymi odcięła nas od Europy, taż sama wojna dała nam jednak naumannowską koncepcyę „Środkowej Europy“, jako wojenny Ersatz, mający zaspokoić nasze zbyt wygórowane tęsknoty. Generalne zastępstwo firmy eksportowej „Naumann i Ska“, objął u nas, jak wiadomo, N. K. N., przedsiębiorstwo znane zaszczytnie w branży towarów „made in Germany“. Szereg reklam, wśród których „najgrubsze“ miejsce zajmuje „naukowe“ dzieło p. Rogera Battaglii spopularyzował u nas należycie nęcący program p. Naumanna.

Świeżo przekonywa nas do tego programu artykuł p. Doborzyńskiego w „Wiadomościach polskich“ [1]). P. Doborzyński jest jednym z najiteligentniejszych współpracowników tego oficyalnego organu N. K. N., tembardziej więc charakterystyczne jest, jak sielankowo wyobraża on sobie naszą przyszłość powojenną. Z dużą dozą przekonania zwalcza on panujący u nas pessymizm „wobec tryumfu Niemiec“ i w tęczowych barwach maluje nad wyraz przyjemną rolę, jaka nas czeka w przyszłej środkowej Europie:

> „Ekspanzya ekonomiczna daje podstawę koncepcyi Naumana o Europie Środkowej, w której liczna rzesza ludów i państw ma być poddana hegemonii Niemiec. Stosunek mocarstwa hegemona do poddanych jego supremacyi państw, nie może już być kopią stosunku w porównaniu z uciskiem podwójnym niemiecko-rosyjskim, albo pojedynczym uciskiem zjednoczonej Polski pod berłem cesarza rosyjskiego, stan podporządkowania niepodległego państwa polskiego hegemonowi,

---

[1]) Nr. 189. „Rola Niemiec po wojnie“.

mocarstwu sąsiedniemu — Niemcom, był (może „byłby?“ przyp. Red.) stokroć lepszy i ponętniejszy. Zwycięstwo Niemiec i upadek Rosyi realizacyę Środkowej Europy przyspieszyły. Obecnie jesteśmy świadkami jej stawania się. Gdzież tu miejsce na pesymizm?“

Istotnie, to jest dobrze powiedziane:

— Gdzież tu miejsce na pessymizm?

W dalszym ciągu przyznaje wprawdzie autor, że „żywot naszego narodu nie będzie usłany różami“, że „zależność ekonomiczna i militarna od potężnego sąsiada będzie dla nas ciężką pańszczyzną“, ale mimo to wobec licznych plusów „Europy środkowej“ uważa, że „pola do pessymizmu niema“. Wobec tych czarownych obrazów przyszłości w bardzo charakterystycznych słowach wyraża się autor o pierwotnej koncepcyi N. K. N.-u, (którą to koncepcyę na podstawie oficyalnych wynurzeń firmowych mężów stanu, mielibyśmy prawo uważać za dotychczas obowiązującą):

„Niewątpliwie przykra dla narodu naszego zależność bezpośrednia od Niemiec, skłoniła część aktywistów do wysunięcia złagodzonej formy tej zależności przez t. zw. habsburskie rozwiązanie kwestyi polskiej. Manowce polityki Czernina i Seidlera bardzo je jednak nadwątliły, zdemaskowały bowiem słabość i chwiejność decydującego czynnika“.

Kto czytywał „Wiadomości Polskie“, ten pewnie z uśmiechem przeczyta dziś w tym organie wzmiankę o błędach politycznych „części aktywistów“.

Przyszłość polityczna środkowej Europy jest dla autora kombinacyą tak ponętną, że wobec niej „nawet najgorsza ewentualność, jaką wyobraźnia łączyć może ze zwycięstwem Niemiec, t. j. podział Polski nowy, byłby tylko klęską przejściową, która stałaby się przyczyną katastrofy dla jednego z podziałowców i w rezultacie doprowadzićby musiała do Europy Środkowej“.

Ten niechybny tryumf naumannowej koncepcyi mógłby się wydać mniej niechybnym komuś, kto pamięta, jak mało rozrzewnia ona n. p. polityków madziarskich i bułgarskich, ilu wrogów ma w Austryi, a nawet w Niemczech, ilu wreszcie ma zwolenników w Polsce poza drem Battaglią i biurem prasowem N. K. N. Przypuśćmy jednak, że autor nie myli się ani co do stwierdzonego już przez siebie „tryumfu“ Niemiec, ani co do zwycięstwa konce-

pcyi Naumanna. Jakimi jednak argumentami zwalcza on tych dziwnych ludzi, którzy mimo wszystko pessymistycznie patrzą w centralne oblicze przyszłej Europy Środkowej? Dlaczego przyszłość nasza w tej kombinacyi musi być niewątpliwie promienna? Dlaczego jednem słowem nie da się pomyśleć polityka ucisku ze strony przyszłych Niemiec?

Ucisk taki nie grozi nam zdaniem autora z dwu powodów. Naprzód Niemcy nie będą w przyszłości już mocarstwem na dorobku, ale „mocarstwem hegemonem“. *Noblesse oblige:*

> „Polityka, która mocarstwu na dorobku mogła oddać usługi, dla mocarstwa hegemona Europy Środkowej byłaby zgubną. Państwa poddane supremacyi Niemiec, winny odczuwać swój związek z silnym sąsiadem jako korzystny; inaczej będą źródłem tarć wewnętrznych tego rodzaju, że Europa Środkowa zaabsorbuje wszystkie siły Niemiec i uczyni je niezdolnemi do dalszego rozwoju“.

Z rozkoszą pragnęlibyśmy wierzyć w tę cudowną przemianę pod wpływem Europy Środkowej. Na razie co prawda mało jest danych na taką metamorfozę. Jużci Europy Środkowej w pojęciu Naumana dotychczas jeszcze niema, ale mocarstwo-hegemona już mamy. Nowe swe obowiązki pojmuje ono jak dotychczas niezupełnie według powyższej recepty. Można być wielce zapalonym aktywistą, a mimo to uznawać, że n. p. nasz stosunek do potężnego suwerena od czasu zwłaszcza pokoju brzeskiego nie ma cech tego błogiego zaufania, jakie daje świadomość niezawodnej wspólności interesów. Opieka, jaką mocarstwo-hegemon otacza nasz przemysł i nasze rolnictwo w Królestwie, jest dla nas tak dotkliwie korzystną, że objektywny i bardzo ostrożny jej obraz, skreślony na posiedzeniach Rady Stanu, wywołał jawną niechęć i naganę ze strony p. Lerchenfelda. Co dziwniejsza, nastrój obecny Litwinów, Łotyszów, Ukraińców, Rumunów, Bułgarów, a nawet jeszcze innych członków przyszłej rodziny środkowo-europejskiej na razie podobno w stosunku do „mocarstwa-hegemona“ mocno przypomina znany nastrój Królestwa. Zapewne, że niesprawiedliwością byłoby oceniać przyszłość na podstawie ciężkich stosunków wojennych. Ciekawe to jednak, że obecne nastroje tak zw. narodów „oswobodzonych“ i sprzymierzonych tak mocno przypominają przedwojenne jeszcze uczucia wszystkich sąsiadów „mocarstwa na

dorobku", z powodu czego dziś w Niemczech najaktualniejszym problemem publicystycznym jest pytanie: „Warum hasst man uns?"

Nasz autor twierdzi, że Europa środkowa, gdyby była niezadowoloną, zaabsorbuje wszystkie siły Niemiec i uczyni je niezdolnemi do dalszego rozwoju. Ale „Europa Środkowa" — to nie jest żadne „tabu", zwłaszcza dla tego, kto ją stworzył. Czy nie prościej przypuścić, że „mocarstwo hegemon", jeśli przekona się o nieziszczalności sielanki pastora Naumanna, zamieni ją na epopeję rycerską jakiegoś „Gewaltstaatu?" Filozof, który tę nową fazę historyi ludów uzasadni, znajdzie się na pewno, a jego polski popularyzator będzie może jeszcze gruntowniejszy niż p. Battaglia...

Ale nasz autor wierzy nie tylko w Europę Środkową i w mocarstwo-hegemona. Wierzy on jeszcze po drugie w naszą specyalną przyszłość. Przyszłość ta pozostaje w związku z bankructwem Rosyi, którą Niemcy muszą uporządkować. „Upadek caratu uczynił Niemcy spadkobiercami całego spadku po carach. Odtąd koncepcya Europy Środkowej przestała wyczerpywać zadanie Niemiec imperyalistycznych" — przyznaje tu autor.

Pomijamy tu wywody autora, zmierzające do udowodnienia, że Niemcy nie mogą restytuować caratu, choć nam osobiście nie wydaje się to wcale taką niemożliwością. Pomijamy barwny opis kulturalnej przepaści, jaka dzieli Niemcy od caratu, opartego na mongolskich tradycyach [1]). Faktem jest, że Niemcy, jak to autor stwierdza, postanowiły „zorganizować Wschodnią Europę w szereg oddzielnych formacyi państwowych i wszystkie poddać swej hegemonii". Tak przynajmniej dziś zamiary Niemiec wyglądają.

Otóż w tem — zdaniem autora — będzie Niemcom potrzebna pomoc narodów Środkowej Europy:

> „Muszą narody sprzymierzone dopuścić do udziału w zyskach, do eksploatacyi bogactw naturalnych Europy Wschodniej, do kolonizacyi. Zwłaszcza dla naszego narodu, który zna Rosyę i jej pasierbów lepiej niż znają ich inne ludy Środkowej Europy, otwiera się pod hegemonią Niemiec obszerne pole działania. Będziemy Niemcom potrzebni, bo żywiołów kulturalnych na wschodzie poza nami i kilkoma tysiącami

---

[1]) „Niemcy kultury nie niszczą, lecz ją tworzą". Tak, ale swoją, niemiecką, o czem mogliby coś powiedzieć Poznańczycy.

inteligencyi rosyjskiej nie znajdą. Chcąc zaś ład i porządek wprowadzić, trzeba się przecież na jakichś elementach kultury oprzeć".

Jest to więc znowu w gruncie rzeczy ta sama teorya pośrednictwa pomiędzy wschodem a zachodem, teorya tyle razy powtarzana w pismach i mowach N. K. N.-u. Argument to nie nowy, a nawet powiedzielibyśmy — od częstego używania jak moneta zdawkowa — mocno zużyty. Tysiąc razy powtarza się to Niemcom w oczy i poza oczy:

— Będziemy wam potrzebni jako pośrednicy między wschodem a zachodem!

Przypomnijmy sobie, ile to razy tę samą myśl na różny sposób wypowiedział i wypisał już Eksc. Jaworski! Zdawałoby się, że nic nam tak nie przypada do gustu, jak właśnie szczytna rola — pośredników, czy zgoła faktorów.

Argument nie nowy — może być mimo to słuszny. Że w razie, gdyby cała Rosya została oddana na pastwę Niemiec, my możemy odegrać pewną rolę przy konsumowaniu upadku caratu, to niewątpliwe. Niestety jednak faktem jest, że ta nasza rola Niemcom, którzy dziś robią historyę, a nie publicystom — jakoś najmniej przypada do smaku mimo wytrwale powtarzanych ofert ze strony N. K. N.-u. Jeśli gdzie n. p., to na Ukrainie, na Litwie, na Białej Rusi stanowimy ten, „jedyny żywioł kulturalny", na którym Niemcy mogliby się oprzeć w opanowaniu kraju. Niestety, jak dotąd — nie tylko nie oparto się tam na żywiole polskim, ale przeciwnie: wydarto mu przemocą całe dotychczasowe znaczenie, które nabył z racyi swej wyższości kulturalnej. O pośrednictwo nikt nas dotąd jakoś nie prosi, ani tam, ani w Rosyi. Natomiast na Litwie drukuje się pieniądze z napisami w żargonie żydowskim, a bankier Dobry, żyd ukraiński, stał się kamieniem, o który obalił się rząd Hołubowicza. Pokazuje się, że my w tych krajach nie jesteśmy jedynymi pośrednikami. Byli tam już przed nami pośrednicy dużo od nas wprawniejsi i znacznie — tańsi.

Czy to ma znaczyć, że mocarstwu-hegemonowi jesteśmy wogóle niepotrzebni? Boże uchowaj! Tylko, że Niemcy widzą w nas jeszcze inne przymioty poza tymi, które wskazuje im propaganda N. K. N-u. Cenią oni nasze lasy i cenić je będą aż do ostatniej poręby jako źródło taniego — jak taniego! — drzewa. Cenią też

i cenić będą nasze pola, jako spichrz na wypadek przyszłej wojny. Bo wojna obecna nauczyła ich, że rolnictwo Niemiec samo nie zaspokaja ich potrzeb. Cenią naszego robotnika, o czem wiemy oddawna. Cenią też i szanują naszego chłopa jako doskonałego odbiorcę, cenią całe Królestwo jako jeden z głównych dziś rynków zbytu na miejsce Chin, Afryki i południowej Ameryki. Możemy być pewni, że przemysł niemiecki gotów jest na długie lata zaspokajać wszelkie nasze potrzeby, które będą wzrastać w stosunku prostym do zniszczenia przemysłu naszego. Współżycie na tem tle jest współżyciem naturalnem i pod tym względem przyszłość nasza może być naogół podobna do przyszłości innych ludów nie tylko środkowcj, ale i wschodniej Europy. Forma zewnętrzna tego współżycia, przyszły nasz ustrój państwowy nie odgrywa tu roli decydującej, tak jak widzimy, że nie decydująco naszem państwie granice, ciągle jeszcze, jak wiadomo, nieustalone.

Ten ustrój i te granice zależeć będą bądź co bądź od przyszłego kongresu pokojowego i dlatego lepiej może byłoby dzisiaj nie zaprzątać sobie głowy precyzowaniem naszego stosunku do Niemiec po wojnie.

Dotychczasowe rezultaty ideologii N. K. N. mają wprawdzie tę zasługę, jak sam autor zdaje się odczuwać, że „zdemaskowały słabość i chwiejność decydującego czynnika“, powiodły jednak cząstkę społeczeństwa na „manowce polityki Czernina i Seidlera“. Zali myśl polska zmęczona tułaczką, odpocząć ma w obwarowanym „obozie jeńców“ — Środkowej Europy?

Jeśli nam tak nawet pisano — to dopiero po wojnie, a do tego jeszcze daleko, mimo rzekomego „tryumfu Niemiec“ i „tragedyi narodu francuskiego nad Marną“, o których autor wspomina. Nie uprzedzajmy więc wypadków.

Krz. Orszański.

Stanowisko filozoficzne X. Stefana Pawlickiego.

Pierwszy w Polsce na szerszą skalę źródłowy badacz dziejów filozofii greckiej ułatwił jedną książką swą niezmiernie zadanie każdemu, kto będzie chciał przedstawić i ocenić jego poglądy na istotę, zadania i metodę filozofii, a temsamem odpowiedzieć na pytanie, czy Pawlicki był myślicielem samodzielnym i twórczym, czy i jaki po nim pozostał dorobek o trwalszej wartości, dający się przez następne pokolenia zużytkowywać i rozwijać.

Otóż taką książką jest jego niewielkich rozmiarów (81 stron in 4⁰ dużego druku) rzecz pod tytułem: „Kilka uwag o podstawie i granicach filozofii“, tytułem stanowczo zbyt skromnym, gdyż dał w niej autor obraz artystycznie zaokrąglony całości swych zapatrywań przejrzyście i z ujmującą prostotą wyłożonych, powiązanych i umotywowanych o kwestyach, które się dziś zazwyczaj traktuje w t. zw. wstępach do filozofii. To też domaga się ona natarczywie ponownego wydania dla użytku przedewszystkiem młodzieży uniwersyteckiej, ale i niemniej dla każdego, kogo ten przedmiot obchodzi. Pytań owych dotknął wprawdzie Pawlicki także i przy innych sposobnościach, już w „Lekcyi wstępnej do wykładu historyi filozofii w Warszawskiej Szkole głównej“ w roku 1866 (umieszczonej w „Gazecie Warszawskiej“) — potrąciwszy poprzednio o nie zlekka w łacińskiej dyssertacyi doktorskiej „De Schopenhaueri doctrina et philosophandi ratione“ (Wrocław 1865), gdy uwydatniał niezgodności między subjektywizmem tego filozofa a mistycznem roztapianiem przez niego woli indywidualnej w jakiejś woli powszechnej — następnie w rozprawach zwróconych prze-

ciw Büchnerowi, Buckle'owi i pokrewnym im materyalistom, tudzież przeciw samowolnym uogólnieniom, których się dopuścił Darwin i to właśnie z powodu teoryi doboru naturalnego i rządzącego rzekomo rozwojem jestestw żywych przypadku, teoryi dziś ze znacznym skutkiem zwalczanych przez niektórych poważnych przyrodników. Mianowicie w r. 1870 wyszedł w „Przeglądzie Polskim" i w osobnem odbiciu Pawlickiego „Materyalizm wobec nauki", w 1872 r. we Lwowie „Człowiek i małpa, ostatnie słowo Darwina", a w 1874 r. „Mózg i dusza". Są to jednak publikacye przeważnie polemiczne, podobnie jak i wydany przez towarzystwo filozoficzne krakowskie w r. 1912 odczyt p. t.: „Spinoza i dzisiejszy monizm", starający się dowieść, że jedyną „prawdziwą" t. j. konsekwentną formą monizmu, jakkolwiek gruntownie zmodyfikowaną przez uznanie realnej różnicy między Bogiem a światem, duchem a ciałem, jest ta forma, która przyjmuje Boga osobowego, jako czyn twórczy, „samobyt", czyli jedyny byt, który jest sam z siebie i o samego siebie oparty. — Przeto tak te wszystkie tu wymienione rozprawy, jak i czysto okazyjne (w dziełach historycznych) wypowiedzenia się Pawlickiego, w sprawie punktów wyjścia, głównych problemów i metod filozoficznych dociekań nie mają ani w drobnej części tego znaczenia, co dzieło u wstępu wymienione. Zresztą rozsiane w nich myśli są do tego stopnia zgodne z pojęciem podstaw i granic filozofii w „Uwagach" z r. 1878, że chyba kiedyś dopiero dokonać się mające mozaikowe zestawienie i porównanie owych myśli wykaże, o ile jedne z nich, mianowicie wyprzedzające pojawienie się „kilku uwag", były stadyami przygotowawczymi dla skrystalizowanego tu jednolitego ujęcia ogółu pytań zasadniczych, a o ile znów inne, późniejsze, mogą przedstawiać jakieś odchylenia od linii przewodnich, które sobie Pawlicki nakreślił w tym przełomowym punkcie swej działalności umysłowej. Bez uprzedzania o ostatecznym wyniku tych nader pożądanych badań, może powiedzieć każdy, kto więcej przestawał z Pawlickim w ostatnich latach jego życia, iż równolegle z rosnącemi u niego upodobaniami filologicznemi, rozmiłowaniem się w takich przedstawicielach świata starożytnego, jak z pośród Hellenów Eurypides i Platon, a z pośród Rzymian Cyceron i Seneka, wzrok jego duchowy odwracał się od czysto teoretycznych zagadnień ku etyczno-społecznym i estetycznym, wogóle ku światowi wartości dla woli i uczucia, zaś w miarę, jak odgadywał przy-

bliżający się kres swej doczesnej wędrówki, zatrzymywał się ze szczególną bacznością nad kwestyą takiego urządzenia spraw ludzkich, by każdy mógł umierać ze spokojem, z wiarą i nadzieją szczęśliwszego losu w innym świecie. Zanim monografia tego rodzaju, szczegółowsza i staranniejsza, odsłoni wszystkie ogniwa rozwoju poglądów Pawlickiego na prawdy przez filozofię już wykryte i na to, co ona ma jeszcze do zrobienia, nie będzie zapewne bez pożytku, jeźli się przypatrzymy wyłącznie owej jedynej, bardzo treściwej i jasnej syntezie lub może raczej programowi ogólnemu metody, jaki nam podał pod wyżej przytoczonym tytułem „Kilku uwag".

Osią tej budowy myślowej, z której się inne jej wątki rozwijają i ku której napowrót ciążą, jest bezpośrednie osobiste doświadczenie. Pawlicki nawiązując do hasła greckich myślicieli: „poznaj samego siebie" (γνῶθι σεαυτὸν), tudzież do Augustyniańskiego, przez Kartezyusza (tak przynajmniej jego *cogito, ergo sum* rozumie) do samych myśli zacieśnionego źródła pewności o własnym bycie, o świadomych siebie czynnościach i doznawaniach, wreszcie do Kantowskiej analizy ludzkiego myślenia, upatruje Pawlicki jedyne bezpieczne i swą oczywistością zaspakajające ostateczne oparcie dla myśli w stwierdzeniu: wiem, że jestem, bo czuję się czynnym i podlegającym działaniom. W ten sposób stara się on dotrzeć do tej najbardziej pierwiastkowej, najelementarniejszej postaci poznania bezpośredniego odróżnionego wyraźnie już przez Arystotelesa od poznania pośredniego (jako νοῦς od ἐπιστήμη) w której ono zarazem może być uznanem za niezawodne pochwycenie, odczucie jakiejś rzeczywistości, czyli jest zarazem bezpośredniem doświadczeniem. Od dzisiejszych empiryokrytyków, którzy również w takiem bezpośredniem doświadczeniu obierają punkt wyjścia dla wszystkich dalszych analiz i opisów objaśniających powstawanie obrazów poznawczych, przedziela Pawlickiego ten radykalny odstęp, że uważa on widocznie za rzecz niemożliwą do pomyślenia doznanie, któreby nie było czyjemś doznaniem, jak również świadomą pobudek lub celów działalność, którąby nie była czyjąś działalnością. I zdaje mi się, że słusznie mógłby przeciwstawić takim ryzykownym przypuszczeniom czuć i czynności niczyich zarzut, iż całkiem inaczej jest każdemu z nas dane własne a obce przejście osobiste, że nawet przy najintenzywniejszem utożsamia-

niu się z cudzym bolem, radością, myślą, pragnieniem mamy świadomość, że nie my jesteśmy ich pierwszymi odbiorcami czy też inicyatorami. Pawlicki zresztą nieprzyjmuje bezpośredniego doświadczenia w sensie jednostronnie spirytualistycznym. Traktuje osobę ludzką przy obraniu takiego punktu wyjścia jako ścisłą jedność ciała z przenikającym je żywotem psychicznym, niewdając się tu wcale w kwestyę możliwości oddzielnej egzystencyi duszy po śmierci. Właśnie okoliczność, że i ciałem naszem doświadczamy zdolności poruszania się i stawiania oporu tylko w pewnej liczbie kierunków ściśle określonych we wzajemnych stosunkach ze sobą, służy mu za prosty i dostateczny, jego zdaniem, sposób rozwiązania postawionego przez Kanta pytania, jak są możliwe sądy syntetyczne a priori, w szczególności w geometryi, dlaczego niezależnie od przyszłych doświadczeń wypowiadamy apodyktycznie twierdzenia o sumie kątów w trójkącie, o trzech do siebie prostopadłych wymiarach w przestrzeni realnej i t. d. Konieczność i ogólność sądów niepodległych sprostowaniu przez jakiekolwiek późniejsze doświadczenia tłómaczy Pawlicki — nie jak Kant apryorycznemi, subjektywnymi formami oglądu (t. j. czasu i przestrzeni) ani takiemiże kategoryami — ale tem, że bez nich nasze „ja“ nie może pomyśleć ani swego jestestwa ani jego objawów (str. 46). Zawiera się to już zresztą w zasadzie, którą nazywa pierwszą, a która brzmi: Bezpośrednio znam byt, ma się rozumieć mój, i czyny moje, oraz wszystko, czemu zaprzeczyć nie mogę, nie chcąc zaprzeczyć mego czynu i działania — podczas gdy wedle zasady drugiej tylko „pośrednio znam byt i czyny obce, o ile mi są objawiane przez doświadczenie zmysłów lub też słowo ludzkie“ (str. 41). Co autor ma na myśli, da się łatwo zaillustrować na przykładzie przestrzeni, o której się wyraża (na str. 46), że nasz byt własny daje nam o niej pierwsze i najgruntowniejsze wyobrażenie. Pozwalam sobie dokładniej rozwinąć, co się mieściło w tem zdaniu tak, jak je rozumiem, otóż: Ciałem jako częścią mojej tu istoty doświadczam, że mogę się poruszyć naprzód albo w tył, na prawo albo w lewo, w górę albo w dół (o ile n. b. uda mi się przezwyciężyć ewentualne przeszkody) a jakikolwiekbym inny kierunek obrał poza tymi sześciu głównymi oryentacyjnymi w odniesieniu do mojego ciała, będzie on więcej zbliżony do jednego z sześciu powyższych aniżeli do drugiego mu przeciwległego; to znaczy: będzie się on bardziej nachylał albo ku przodowi (+ y)

niż ku tyłowi (— y), albo odwrotnie, albo bardziej na prawo (+ x) niż na lewo (— x), albo odwrotnie, albo wreszcie bardziej ku górze (+ z) niż ku dołowi (— z), czy też odwrotnie. Innych możliwości położenia jakiegoś punktu po p i e r w s z e poza jedną z trzech głównych osi, po d r u g i e poza jednym z 12-tu odcinków płaszczyzn między temi osiami, po t r z e c i e poza jedną z ośmiu przestrzeni międzyowemi płaszczyznami nie mogę sobie pomyśleć bez zadania kłamu moim czuciom cielesnym ruchowym, a więc objawom jednej części mojej istoty. Wystarcza do upewnienia się o tem najprostszy eksperyment z dowolną zmianą pozycyi ciała: po wykonaniu każdego ćwierćobrotu w płaszczyźnie poziomej lub pionowej przechodzimy od jednego z 6-ciu głównych kierunków w inny, a gdy 4 takie obroty w jednej płaszczyźnie spełniliśmy, wracamy do kierunku pierwotnego. Podobnież tłumaczy się z tego założenia P a w l i c k i e g o konieczność wyobrażania sobie przestrzeni nieskończonej. Bo gdybyśmy przyjęli niemożliwość przedłużenia ruchu w jakimbądź kierunku, musielibyśmy kłaść ją na karb jakiegoś oporu, który moglibyśmy sobie tylko wyobrazić jako stawiany na dalszej drodze przez coś o podobnym jak u naszego ciała przymiocie rozciągłości, albo też, gdyby ten opór dał się tłumaczyć nie jakąś zawadą, ale ciągnieniem w tył ciała poruszającego się, należałoby przypuszczać, że po odpowiedniem wzmocnieniu siły, poruszającej ciało, tak wielkiem, aby przewyższyła ową siłę ciągnienia, ruch odbywałby się dalej, czyli, że przestrzeń w tem miejscu się nie kończy.

Analogicznie wyprowadza P a w l i c k i z doświadczenia bezpośredniego oczywistą pewność, że zachodzą realne związki przyczynowe. Żadnemu cieniowi wątpliwości nie podlega nasza na tem doświadczeniu oparta wiedza, iż w mocy naszej jest, t. j. zależy od tego, czy zechcemy, wywołanie zmiany przynajmniej w niektórych częściach naszego ciała, mianowicie tej, którą nazywamy ruchem, czyli, iż ten ruch zawisł z reguły od naszej woli, (wyjąwszy stany końcowej agonii lub całkowitego paraliżu). Otóż to, co się nam w ten sposób przydarza, iż osądzamy je na podstawie bezpośredniego doświadczenia jako zależne od innej strony czy też części naszego jestestwa, pojmujemy właśnie z samego punktu widzenia takiej realnej doznanej zależności jako s k u t e k, a tamto drugie, od czego ono tak faktycznie zależy, jako p r z y c z y n ę.

P a w l i c k i podkreśla silnie po kilkakroć, że w tem najpro-

stszem ujęciu niezawodnie danego nam związku przyczynowego nie mieści się bynajmniej czasowe następstwo skutku po przyczynie. Służy mu ta prawda do wykazywania, że gdyby nawet łańcuch przyczyn i skutków w świecie zjawiskowym, t. j. wywołujących i wywoływanych ruchów w czasie i przestrzeni był nieskończony — a przyznaje nasz myśliciel, że niepodobna dowieść początku czasu i wraz z nim ruchu, że co więcej taki początek przekracza nasze zdolności wyobrażania sobie i poznawania — to jednak taka niezliczoność ogniw nie uchylałaby działania na świat i podtrzymywania go w bycie przez Istotę bezwzględnie niezależną istniejącą poza czasem, dla której wszystko jest wieczyście teraźniejsze.

Jeżeliby wogóle można było mu co w tych wywodach zarzucić, to chyba tylko to, że nie uwydatnił dość wyraziście, iż podczas gdy wynikanie realne naszych ruchów z naszych postanowień, wzruszeń, pragnień i t. p. nie jest wcale logicznie przejrzyste i zrozumiałe, to dana jest nam zupełnie jasno i niewątpliwie osobna sfera przyczynowości, wewnętrzna, psychiczna, w obrębie której dostrzegamy jakby na dłoni wypływanie poprawnych konkluzyi z przesłanek, decyzyi woli z pobudek, obmyśleń i przedsięwzięć środków z wyobrażeń celów mających być przez te środki ziszczonymi. A to jako dopełnienie do danej li tylko jako nagi fakt przyczynowości w oddziaływaniu duszy na ciało i odwrotnie, lub wyrażając się ostrożniej, szeregów zdarzeń psychicznych i fizycznej, przyczynowości w każdym razie niekompletnej, chociażby zaprzeczający jej paralleliści nie mieli słuszności, bo i od stanu ciała żywego zawisła zdolność poruszania jego członkami przez odnośny osobnik. Przy takiem to dopiero dopełnieniu staje przed nami przyczynowość, nie jako tajemnicza apryorystyczna czysto subjektywna kategorya po myśli Kanta, o której nic zgoła wiedzieć nie możemy, czy jej coś odpowiada w rzeczywistości przedmiotowej, a tem mniej jako przypadkowy zbieg naszych nawyknień i skojarzeń (wedle poglądu Hume'a), ale jako zasadniczy moment w porządku wszechbytu nietylko pomyślanego, ale w pierwszym rzędzie prawdziwego, rzeczywistego.

Bądź co bądź wielką zasługą „Podstawy i granic filozofii" nakreślonych przez Pawlickiego jest, że w sposób niesłychanie prosty i jasny uwidocznił, jak badanie samego siebie (introspekcya), a więc skończonej i to niezbyt wielkiej liczby zjawisk

może doprowadzić do zrozumienia i uznania powszechnego waloru pewnych praw rządzących zarówno światem materyalnym jak duchowym. Pawlicki zastrzega stanowczo, ze filozofia nie powinna pod karą ponownego zdyskredytowania się takiego, jakie już ją raz spotkało w okresie spekulacyi Hegla i filozofów przyrody z rodzaju Okena, wdzierać się na tereny nauk szczegółowych i przesądzać o ich wynikach, że owszem sama wiele może się spodziewać korzyści dla siebie po postępach takich nauk jak psychologia, logika, fizyologia, że więc dalszy jej rozwój od nich zawisł. Twierdzi wszakże, że i największa liczba doświadczeń, ale pośrednich, zatem polegających już na świadectwie zmysłów o naszem otoczeniu i na wierze w prawdziwość relacyi innych obserwatorów, nie zdoła wyrobić ściśle uzasadnionego zaufania w stałość i powszechność praw pzzyrody i ducha, a w szczególności zachodzących tam rodzajów oddziaływania, ilościowych i jakościowych postaci zależności. Fundament dla indukcyi wnioskującej o owych prawach musi być założony w samem wnętrzu śledzącej siebie osoby myśliciela, jeżeli ta indukcya niema poprzestać tylko na większych lub mniejszych prawdopodobieństwach, uzyskiwanych drogą analogii, czy też opartych na przybliżeniach i zestawieniach cyfrowych, ze znaczniejszej liczby obserwowanych wypadków, ale na skonstatowaniach zawsze tylko względnie dokładnych.

W 34 lat po Pawlickim i zapewne niezależnie od niego wypowiada znamienity amerykański myśliciel Jozyasz Royce, wysoko ceniony przez mistrza pragmatyzmu nowoczesnego Jamesa, mimo iż się rozchodzili na zasadniczych punktach, — sam nazywający się absolutnym pragmatystą, — pogląd bardzo podobny do przedstawionego powyżej. Tak mówi mianowicie w swoich „Prinzipien der Logik", w I. tomie „Enzyklopädie der philosophischen Wissenschaften" (na str. 122), wydanych w r. 1912 razem z rozprawami innych autorów różnych narodowości i szkół o tym przedmiocie przez Rugego wraz z Windelbandem: „Są niektóre prawdy, które znamy nie przez to, że ta lub owa hipoteza przeszła w pojedynczym wypadku zwycięsko próbę, ale przez to, że zachodzą pewne sposoby czynności, pewne prawa woli racyonalnej, ktore my właśnie wtedy przywracamy i przekonywamy się o ich prawdziwości, gdyśmy spróbowali przyjąć, że owe sposoby czynności nie istnieją lub że owe prawa nie są ważne". Albo nieco niżej: „Wszystkie działania, wszystkie działań

typy, wszystkie ich wyniki, wszystkie konstrukcye pojęciowe takie, że sama próba pozbycia się ich, czyli pomyślenia, że ich niema, logicznie domaga się, aby były, są nam faktycznie znane przez doświadczenie i w sposób pragmatyczny (ponieważ zauważamy ich obecność i dowiadujemy się o nich zapomocą czynu), ale są też absolutne (bezwzględne). I każde dociekanie, któremu się uda wykazać, czem one są, odzierży bezwzględną prawdę".

Jeśli chodzi o wyszukanie myślicieli poprzednich, którym mógłby Pawlicki zawdzięczać swój pomysł, to nasuwa się wprawdzie w pierwszym rzędzie Maine de Biran, filozof osobowości, nazwany już przez Cousina pierwszym francuskim metafizykiem XIX wieku. Z kilku jego ustępów, przytoczonych dosłownie przez Janeta i Seailles'a w ich historyi filozofii, widnieje znaczne pokrewieństwo myślowe Pawlickiego z nim, n. p. gdy krytykuje Leibniza, iż wyszedł od pojęć bytu, substancyi, siły, jakoby miały grunt wyłączny i pierwotny w absolucie duszy, substancyi lub siły, zamiast wyjść od idei lub odnośnego poczucia indywidualnego „ja", które spostrzega siebie lub istnieje dla siebie samego jedynie z tego tytułu, że jest przyczyną albo siłą działającą na substancyę rozciągłą. A jeszcze wyraźniej, gdy powiada, że „cała tajemnica pojęć *a priori* znika wobec pochodni doświadczenia wewnętrznego, które nas uczy, że idea przyczynowości ma typ pierwotny i jedyny w poczuciu swego „ja", utożsamionego z poczuciem wysiłku, że przed pojęciem przyczynowości jest bezpośrednie odczucie („sentiment") siły, a nie jest ono niczem innem, jak czuciem samej naszej egzystencyi, od której jest nieoddzielna czynność *(activité)*".

Uderzają tu podobieństwa ze sposobem, w jaki Pawlicki wynajduje punkt oparcia dla filozofii w bezpośredniem doświadczeniu ludzkiej osoby, czynionem nad sobą samym. Jednakże dwie okoliczności głównie skłaniają do powątpiewania, iżby zaczerpnął od Maine'a de Biran swój pomysł przewodni. Najpierw on, który z lojalnością mogącą służyć za wzór, przytacza autorów wnoszących coś nowego do danej kwestyi, milczy o M. de B. i chyba za pośrednictwem zbliżonego do tegoż Paul Janeta, któremu nie bez zastrzeżeń oddaje pochwały w rozprawie o materyalizmie, wszedł na drogę analogicznych rozważań. Powtóre zachodzi między nim a spirytualistami francuskimi ważny

przedział. Ciało osoby badającej siebie nie jest według Pawlickiego osobną rozciągłą substancyą, na którąby miało działać „ja“ nasze, jako przyczyna albo siła, ale jest tylko częścią całkowitej istoty, żyjącego na tej ziemi człowieka — osoby. Mówi P. wyraźnie (na str. 36) o naszej osobowości, jako o rozciągłej w przestrzeni, o ciele (str. 40): „to część bytu mego, znam (je) bezpośrednio“, o zmysłach (str. 43), że „tkwią w nas i do połowy wchodzą do bezpośredniej wiedzy, to też świadectwo ich niesłychanie pewniejsze od tradycyi ludzkiej, a gdy należycie zostało wypróbowanem, dochodzi pod kontrolą wiedzy bezpośredniej do pewności niemal absolutnej“.

Dlatego wydaje się o wiele prawdopodobniejszem następujące wyjaśnienie powstania tej teoryi, czyli jej geneza. Pawlicki już bardzo wcześnie zainteresował się filozofią grecką, jak dowodzi jego rozprawa habilitacyjna o szkole Eleatów z r. 1866. W czasie, gdy pisał zajmującą tu u nas głównie książkę, obeznany był już niewątpliwie doskonale z Arystotelizmem i z tomistyczną jego interpretacyą, zwłaszcza pojęcia duszy rozumnej, jako jedynej formy istotnej ciała ludzkiego, t. j. ożywczo kształtującego je czynu: aktu, entelechii ogarniającej wraz ze zdolnością do logicznie poprawnego myślenia, zdolności czuciowe, dowolno-ruchowe i wegetatywno-rozrodcze. Otóż godzi się przypuścić, że za nitką tych jego zdaniem szczęśliwych przebłysków prawdy, jakie napotkał u nowszych filozofów, n. p. u Fichtego ojca o czynie swego „ja“, którym ono siebie afirmuje i przeciwstawia niejaźni, może i naszego Cieszkowskiego wywyższań czynu duchowego ponad wszystko, a zwłaszcza cenionego przez siebie najwięcej Herbarta, gdy tenże rozprawiał o samozachowawczości tego, co rzeczywiste, (Selbsterhaltungen des Realen) i o Bogu, jako o nadającym owym Realiom układ, organizacyę i cele, — dostrzegł środek ciężkości Arystotelizmu i najgłębsze jądro ukrytej w nim prawdy na dnie twierdzenia, że im bardziej coś jest czynnem i niezależnem, tem bardziej jest realnem, tembardziej zarazem i to bezpośrednio, samowiednem tak, iż absolutnie prawdziwym bytem jest tylko byt znikąd niezapożyczony (jak się Pawlicki wyraża), akt twórczy dla wszelkiego innego istnienia, zarazem cel organizujący je, Bóg. Przypuszczenie to potwierdza dalsza część „uwag o podstawie i granicach filozofii“. Autor jej wychodzi jako od rzeczy pewnej, że my się czujemy tylko w bardzo szczupłej mierze i pod nie-

wielu względami czynnymi i niezależnymi, a znacznie większą ilość zmian w sobie odczuwamy, jako niezależne od woli naszej, nawet wręcz jej przeciwne, zatem jako skutki czynników, względem których jesteśmy zawiśli, bierni. To nam, co prawda, umożebnia poznawanie jestestw różnych od nas, wogóle całego t. zw. świata zewnętrznego, mocą wnioskowań o przyczynach ze skutków — ale zarazem też okazuje ograniczoność naszego bytu.

Pawlicki przyznaje słuszność jednemu z zarzutów podniesionych przez nowożytny krytycyzm przeciw tradycyjnym dowodom istnienia Boga, a mianowicie przeciw dowodowi kosmologicznemu, o ile posługiwał się argumentem, że nie może być zstępowania myślą w nieskończoność — [to znaczy ku przyczynom czasowo lub przestrzennie dalszym — *(non datur regressus in infinitum)*. Wręcz przeciwnie bowiem: skończonego czasu i przestrzeni nie umiemy sobie wyobrazić, a skończona ilość masy materyalnej we wszechświecie, gdyż nieskończenie wielkiej masy bez pewnych niemożliwych konsekwencyi nie uda się nam, jego zdaniem, pomyśleć, dałaby stę bardzo dobrze pızedstawić, jako rozmieszczona w nieskończonej przestrzeni w coraz większych ku obwodowi odstępach malejących bez końca cząstek. W ten sposób zatem nie można według Pawlickiego dowieść koniecznego bytu jednej przyczyny świata. Ale próbuje on go uzasadnić inaczej. Wszystko, co tylko napotykamy czynnego w świecie naszych naukowych doświadczeń, jest jedynie pod pewnym względem i z pewnej strony widziane przyczyną, zaś pod innym względem i z innej strony jest skutkiem, jest zależne w swoim bycie i w swojej postaci od czegoś innego. Otóż Pawlicki zaprzecza, iżby z niezliczoności takich na poły przyczyn, a na poły skutków, mógł się złożyć jeden byt prawdziwy, mający w sobie coś niewzruszenie stałego, rządzony jednem powszechnem prawem, stanowiący jeden ciągły układ elementów rzeczywistych. Wszystko to, czego zajście jest uwarunkowane zajściem czegoś innego, czyli od tego drugiego zależy, albo i od mnóstwa innych czynników zawisło, ma tkwiący w sobie po myśli tych wywodów składnik bytu czysto względnego, a więc niebytu, jeżeli się uważa za byt prawdziwy tylko byt absolutny, zupełnie niezależny. Sposób rozumowania Pawlickiego można by uprzystępnić przy pomocy pewnych symbolów logiki matematycznej. Każde zdarzenie, czy też stan rzeczy, będący i przyczyną i skutkiem, da się pojąć jako iloczyn logiczny,

kombinacya myślowa jedynki i zera, przyczem jedynka oznaczać będzie prawdę, niezależność jakiegoś bytu, a zero jego zależność, fałsz. Otóż z tych wszystkich jedynek pomnożonych przez zera, to znaczy z zerami skombinowanych, otrzymalibyśmy razem jedno wielkie zero. Czyli, wyrażając się już niesymbolicznie: do stałości, jednolitości układu wszechrzeczy, do tego, aby naprawdę „były“ w jakichś określonych ze sobą stosunkach, niezbędną jest jedna, całkiem niezależna od innych. Istota. Nietylko wystarcza do tego jedna, ale i może być wyłącznie jedna, jak to uzasadnić stara się Pawlicki wskazując, iż gdyby ich było więcej, musiałaby rozumna z pośród nich liczyć się z istnieniem innych i temsamem już byłaby od drugiej, czy też od większej liczby ich zależną. Tem mniej oczywiście warunków niezależności miałaby w sobie istota bezwiedna i nierozumna.

Na dnie tej argumentacyi widzimy postulowanie, t. j. teoretyczne domaganie się, jakiejś ostatecznej, idealnie bezwzględne wartości dla umysłu i dla woli, nieodwołalnie stałego punktu oparcia, ale zarazem takiego, którył by był pojęty czysto energetycznie, czyli jako Istota nie będąca niczem innem, jak wieczystym czynem, wszechmądrym i dobrym samym przez się. Przyznajemy, że sposób myślenia relatywistyczny t. j. stwierdzający rzeczywistość tylko w odniesieniach czegoś do czegoś innego, a przeważający na ogół u dzisiejszych badaczy, nie sprzyja umieszczaniu absolutu u podstawy jakiejkolwiek teoryi, nieczyniąc w tym względzie wyjątków na rzecz teoryi filozoficznych, o ileby chciały odpowiedzieć wymaganiom nauki. A jednak w czasach ostatnich zaczyna się krzewić zrozumienie, że i myśli i postępki ludzkie muszą wpadać na bezdroża, jeśli im nie przyświeca żaden cel bezwzględny, jeżeli się uważa za rzecz dowolnego wyboru, jaką kto zechce uznać wartość za najwyższą, a przeczy się możności wyszukania i ścisłego uzasadnienia wartości logicznych i etycznych czysto przedmiotowych, niezależnych od zmiennych konstellacyi, czyli wartości wewnętrznych, duchowych. Wymownem *signum temporis* chwili obecnej jest natarczywe wołanie o sprawiedliwość i bezstronność w życiu i nauce, jakkolwiek różni ludzie różnie, a po największej części bardzo niejasno, przedstawiają sobie ostateczne konsekwencye tych szczytnych haseł, szczegółowe wyniki ich zastosowania w pojedynczych wypadkach. Naszem przekonaniem droga, którą podjął Pawlicki ku udowodnieniu Boga osobowego, jako wszech-

wiednej Istoty absolutnej, czyli od niczego niezależnej a wszystkiemu byt i ład nadającej, musi być poprowadzona poprzez dowód absolutnych wartości dla umysłu i woli, jeżeli ma dojść do celu t. j. do ściśle przekonywających wniosków. Jeżeliby się wykazało, iż potężnienie i doskonalenie się jestestw rozumnych, stałe owładanie i zorganizowanie przez nie świata materyalnego, zależne są od podporządkowania się tych jestestw idei powszechnego ładu, a wraz z nią dyktowanym przez tę ideę zasadom przedmiotowości, duchowego stężenia i braterstwa, wówczas ogniwa dowodu, że jest niezależnie bytujący Rozumny Stwórca, zwarłyby się o wiele szczelniej i dowód sam byłby znacznie uproszczony i przejrzystszy. Sprawiedliwy bowiem ład, jako źródło wszelkiej stalszej siły zbiorowej i wolności indywidualnej ujawniłby nam byt, od którego każdy inny byt zawisł, tak dalece, że i największa, najjednoliciej i najrozumniej zorganizowana moc rozprzęga się i niszczeje, gdy wykracza przeciw zasadom owego sprawiedliwego Ładu, świadomie od niego się oddziela.

Godna uwagi jest także krótka polemika, którą Pawlicki przeprowadza z Avenariusem i Paulsenem, na końcu omówionego powyżej dzieła w kwestyi stosunku filozofii do nauk szczegółowych. Umieścili byli oni właśnie pierwsze prace w wydawanym przez Avenariusa od r. 1876 „Vierteljahrschrift für Wissenschaftliche Philosophie“, zaś Avenarius ogłosił już w tymże roku, jako rozprawę habilitacyjną, Prolegomena do swej krytyki czystego doświadczenia, p. t.. „Philosopie als Denken der Welt gemäss dem Prinzip des kleinsten Kruftmasses“. Pawlicki trafnie przewidział wielką przyszłość wspomnianego kwartalnika i jego redaktora, chwali je, że jest owiane świeżym naukowym duchem i rozporządza wielkiem bogactwem nauk ścisłych, godzi się na twierdzenie Avenariusa, że „nauki specyalne własnym pozostawione siłom nie mogą wytłómaczyć głównych i ostatnich swych pojęć“. Przeczy jednak, jakoby z samych uogólnień tych nauk mogła powstać filozofia naukowa. Sądzi, że musiałaby w takim razie zaczynać od podłoża w postaci zbioru luźnych problemów, z którymiby sobie nie dała rady bez swoistych podstaw i zasad. Według Pawlickiego nauka nie kończy na ogólnych pojęciach, raczej zwykle od nich zaczyna, a indukcyą je raczej rozjaśnia, ale nie tworzy. A z dalszego postępu owych spodziewanych przez Avenariusa uogólnień, którego by ostatecznie miała dokonać

filozofia, nie rokuje Pawlicki wiele powodzenia, gdyż dowiedzielibyśmy się tylko jego zdaniem, że ostatnim wyrazem wszystkich nauk jest „byt“, a tak otrzymalibyśmy oderwane pojęcie, które nie wytłumaczy mu osobistości ludzkiej, ani Bytu niezależnego, dwóch najwyższych zagadnień wszelkiej filozofii. Dowodzeniu Paulsena, że wszystkie nauki należą do filozofii, że dzisiaj, jak dawniej, filozof powinien wszystkie uprawiać, lub tyle ile może, przeciwstawia Pawlicki swoje odróżnienie wiedzy bezpośredniej od pośredniej. Tłómaczy takie nakreślanie zadań przekraczających dziś siły jednego człowieka brakiem zrozumienia, że filozofii potrzeba przedewszystkiem bezpiecznej podstawy, której w świecie zewnętrznym odkryć nie można, bo „w nas ona się mieści i w bezpośredniem objawia się doświadczeniu“. Przyznaje jednak nieodzowność bardzo obfitej i wzajemnej wymiany owoców myśli filozoficznej z wynikami, a zwłaszcza metodami badań naukowych specyalnych. Stwierdza, iż wiedza ogólna filozoficzna jest powołana do tego, by być doradczynią, że „przez znajomość wszystkich funkcyi umysłowych staje się poniekąd metodologią innych nauk“, nie żeby miała im narzucać „cośkolwiek“, lecz „że o sylogistyce, definicyach, a przedewszystkiem o indukcyi ona jedna ma pełną i dokładną znajomość“. Naodwrót sama musi się uciekać do pomienionych nauk, zwłaszcza w logice i psychologii. Ale i poza temi dyscyplinami, które Pawlicki nazywa konieczną propedeutyką filozofii, potrzebuje ona sama wiedzy pośredniej, bo jest, jak się wyraża autor obrazowo, szkieletem, który ma obrosnąć ciałem. „Soki potrzebne do tego rozwoju i pokarm codzienny wydobywa ze świata i dziejów ludzkości tak, iż na chwilę oderwać się od nich nie może“. Otóż niebezpiecznie jest przyjmować od innych nauk materyał gotowy, nie mając sprawdzianów do oceny wartości i szczerości rezultatów empiryi, jeżeli się ją zna tylko z teoryi a z praktyki nigdy się nie pokosztowało. Można — powiada Pawlicki — „w logice dysputować o prawach indukcyi, a nie umieć rozsądzić, czy ta lub owa obserwacya odpowiada naukowej ścisłości“. Dlatego zaleca filozofowi, aby przynajmniej w jednej nauce był specyalistą i własną pracą nabrał jasnego wyobrażenia o indukcyi. A sam tak dalece był wiernym tej wskazówce innym udzielanej, że nie troszcząc się o to, czy go to oddali od budowy własnego systemu, oddał się w drugiej połowie życia obok historyi filozofii greckiej naukom szczegółowym, mniej lub więcej tre-

ścią swą do niej zbliżonym, jako oświetlającym tło kulturalne badanej epoki: archeologii chrześciańskiej n. p. gdy pisał o „Początkach chrześciaństwa“ i klassycznej, oraz w ogóle filologii. Wykładał też nietylko z zamiłowaniem, ale i ze znawstwem subtelnem historyę sztuki. O stopniu pogłębienia tych studyów i ich metodyczności muszą zawyrokować kompetentniejsi krytycy.

Jego idea podstawowa o możliwości rozwinięcia poglądu filozoficznego na świat z doświadczenia bezpośredniego, o drogach, jakich przytem użyć wypada i o następnem uzupełnianiu zdobywanych w ten sposób wyników doświadczeniem pośredniem w najściślejszym kontakcie z postępami innych nauk, zasługuje i dziś jeszcze na jak najusilniejsze przemyślenie tembardziej, że wiąże się z nieprzedawnionemi zagadnieniami osobowości ludzkiej i wartości wogóle.

Witold Rubczyński.

Gwarancye niepodległości.

Naturalnem jest dążenie narodu do pełnej niepodległości. Niemal wszyscy u nas przyznają się do tego programu, ale nie wszyscy uświadamiają sobie dokładnie treść, którą oznacza ten wyraz. Nie jest rzeczą łatwą dokładne określenie „niepodległości", tembardziej, że wielu czynnikom zależy na tem, by zaciemnić i zwęzić to pojęcie, a znów dla niektórych kompromisowych żywiołów jest rzeczą niewygodną, gdy się bardzo nastaje na jego wyjaśnienie. To też w chwili, gdy całkiem wyraźnie wystąpiły działania polityczne rządu warszawskiego, godzące się na to, by niepodległość Polski stała się czysto iluzoryczną, warto nieco uwagi poświęcić tej kwestyi.

Najpierw trzeba odróżnić niepodległość prawną od niepodległości faktycznej. Z punktu widzenia naukowego można określić tylko formalne, prawne wymagania niepodległości jakiegoś państwa. O tem zaś, czy ono naprawdę z tej niepodległości może korzystać, czy nie znajduje się pod taką przewagą sąsiadów, że w rzeczywistości jest niepodległem tylko na papierze, rozstrzyga faktyczny układ sił. Decydujące znaczenie ma tutaj własny dostęp do morza, ale również i inne czynniki mają doniosłość. Państwo, pod względem ekonomicznym bezwzględnie i w każdym kierunku zawisłe od drugiego, nie jest w stanie wyzyskać swojej formalnej niepodległości. Państwo otoczone z różnych stron przez potężnego sąsiada, który umie wyzyskać swoje stanowisko, musi we wszystkiem mu ulegać, nie potrafi na własnych siłach oprzeć się przewadze. A więc o faktycznej niepodległości decyduje bardzo wiele czynników: położenie geograficzne, siła militarna i gospodarcza, konfiguracya granic, wogóle względny stosunek interesowanego państwa i jego sąsiadów. Nie podobna więc w działalności poli-

tycznej wysuwać jednostronnie hasło „prawnej“ niepodległości, trzeba również dbać o to, by równolegle z tem rozwinęła się i faktyczna niepodległość. W przeciwnym wypadku uzyska się symbole, pozory, a straci treść istotną.

Czasami może się tak zdarzyć, że naród ma faktyczną niepodległość, a brakuje mu tylko prawnych jej sankcyi. W r. 1878, na kongresie berlińskim, utworzono północzielne, autonomiczne księstwo bułgarskie, pozostające pod zwierzchnictwem sułtana tureckiego, zobowiązane do opłacania na jego rzecz rocznego haraczu. Mimo tych zastrzeżeń i mimo, że one nominalnie zachowały swoją moc prawną, Bułgarya faktycznie stała się niepodległem państwem, tak, że gdy w r. 1908 proklamowano uroczyście w Tirnowo niepodległość królestwa bułgarskiego, było to raczej stwierdzeniem stanu faktycznego, aniżeli istotną zmianą na przyszłość. Wtedy król bułgarski w swojej proklamacyi mógł się wyrazić w ten sposób: „Naród, faktycznie niezależny, był powstrzymywany w normalnym i pokojowym rozwoju przez niektóre iluzye i formalne ograniczenia, których rezultatem było oziębienie stosunków między Turcyą a Bułgaryą“.

Nie podobna jednak, na podstawie takich przykładów, lekceważyć znaczenia prawnych gwarancyi niepodległości państwowej. Ostatecznie przecież i Bułgarya czuła potrzebę formalnego uznania swojej niepodległości. Że poprzednie ograniczenia nie dawały się jej zbytnio we znaki, to działo się dlatego, że za nominalnego zwierzchnika miała ona Turcyę w okresie upadku tejże. Im silniejszym i bezwzględniejszym jest sąsiad, tem lepszych zabezpieczeń prawnych trzeba szukać dla ochrony swojej niepodległości. Prawo ma także swoją siłę, nawet i w stosunkach międzynarodowych, a może właśnie wzrośnie ta jego siła, jako rezultat ciężkich doświadczeń obecnej wojny.

W każdym razie dla zabezpieczenia prawnej niepodległości nie wystarczy, by dane państwo nazwano „niepodległem“. Termin ten w prawie międzynarodowem nie ma tej treści, by oznaczał pełnię udzielności jakiegoś narodu. Czasami o niepodległości, zwłaszcza w ostatnich czasach, mówi się tam, gdzie naród jest w rzeczywistości podległym innemu. W r. 1885 utworzono „niepodległe państwo Kongo“. Była to poprostu belgijska kolonia, w której, na podstawie układów z interesowanemi państwami, zabezpieczono im wolność handlu i żeglugi i zagwarantowano neutralność (na wy-

padek wojny) tego terytoryum. O niepodległości Konga faktycznie nie było mowy. Również bardzo znamiennym pod względem używania terminu „niepodległość“ jest układ, zawarty w r. 1903 między Stanami Zjednoczonemi Ameryki Półn. a Kubą, którą straciła Hiszpania w wojnie z r. 1898. Układ ten powołuje się na konstytucyę kubańską, proklamowaną w r. 1902, która ustanowiła niepodległą republikę z tego kraju i mówi w ten sposób w art. 1: „Rząd Kuby nigdy nie zawrze żadnego traktatu ani układu z jakąś obcą władzą, któryby naruszał lub zmierzał do naruszenia niepodległości Kuby“. Art. 2 postanawia, że rządowi Stanów Zjednoczonych wolno interweniować na Kubie dla zachowania kubańskiej niepodległości, dla utrzymania rządu, odpowiedniego do ochrony życia, własności i wolności indywidualnej itd. Wreszcie art. 7, znowu dla ochrony kubańskiej niepodległości, postanawia, że Kuba zobowiązana jest sprzedać lub wydzierżawić rządowi Stanów ziemię, potrzebną na stacye morskie i węglowe. Widzimy, jak tu swobodnie używa się wyrazu „niepodległość“. Widzimy również, że sposoby, w jakie rozstrzygnięto los afrykańskich i amerykańskich murzynów, stały się obecnie aktualne w Środkowej Europie, bo i tu jest mowa o zupełnie analogicznych traktatach.

Trzeba więc w zasadniczych ustawach państwowych i międzynarodowych traktatach określić wyraźniej, co się rozumie przez „niepodległość“. Jeżeli ten wyraz zastąpimy terminem „udzielność“, mniej rozpowszechnionym w życiu codziennem a mającym bardziej określoną treść prawną, to możemy sformułować następujące pytanie: jakie są znamiona państwa w pełni udzielnego? Czasami usiłowano te znamiona wyliczyć i szczegółowo opisać i to zarówno w naukowych badaniach, jak i w aktach ustawodawczych. Naprzykład akt, tworzący w r. 1806, pod wpływem Napoleona, tak zw. Związek reński, zawierał następujące określenie: „Prawa udzielności są to: prawo ustawodawstwa, najwyższego sądownictwa, najwyższej policyi, poboru wojskowego i opodatkowania“ (Art. XXVI). Wszelkie tego rodzaju opisywania praw udzielnych są dość zawodne i nieścisłe. Udzielność państwowa jest to poprostu niczem nieograniczona jego władza na wewnątrz i na zewnątrz, władza, od której wyższej już nie ma. Państwo udzielne nie jest przez nikogo skrępowane na wewnątrz; na zewnątrz zaś pozostaje w stosunkach z innemi państwami, ale

wyłącznie tylko na zasadzie równorzędności, a nie podporządkowania. Ponieważ mamy tu do czynienia z władzą możliwie najwyższą, nie możemy wymienić jej znamion, możemy tylko negatywnie wykluczyć wszelkie jej skrępowanie. Nie znaczy to, że państwo udzielne nie uznaje wobec nikogo żadnych obowiązków, że nikomu nie przyznaje żadnych praw. Znaczy to tylko, że źródłem zobowiązań państwa jest wyłącznie tylko j e g o w o l a, jest umowa, którą to państwo zawiera z innemi państwami. Wtedy wszelkie ograniczenia niczem nie ubliżają zasadzie udzielności, gdyż są nałożone na podstawie woli tego czynnika, który ograniczają, a nie pochodzą z zewnątrz.

Pozornie wszystko jest jasne. Ale udzielność państwowa może być niekiedy tylko nominalna, o ile tylko nominalną jest wola państwa, zaciągającego międzynarodowe zobowiązania. Jeżeli się chce ograniczyć lub nawet zniweczyć niepodległość jakiegoś narodu nad którym się ma przewagę, to można ten cel osiągnąć w dwojaki sposób. Albo się wprost, brutalnie i bez osłonek, krępuje jego wolę, albo też urządza rzecz tak, że do wypełnienia wszystkich postulatów potężniejszego czynnika zobowiązuje się jakaś fikcyjna lub narzucona władza narodu. Druga metoda jest nawet lepszą, gdyż ratując pozory, pozwala osiągnąć wszystko co się chce osiągnąć. Zamiast żeby państwo A powiedziało państwu B: odbieramy ci prawa udzielne, można tak przedstawić, że państwo B „dobrowolnie“, na podstawie układu międzynarodowego, oddało państwu A opiekę i kierownictwo głównemi swojemi funkcyami. Wtedy uratowana jest nominalna niepodległość, co jednak nie ma najmniejszego znaczenia.

Otóż źródłem ograniczeń, prowadzących do zatraty udzielności państwowej, mogą być różnego rodzaju traktaty międzynarodowe. Żadne państwo nie może prowadzić zupełnie autonomicznej polityki międzynarodowej i zaniechać zaciągania jakichkolwiek zobowiązań wobec innych państw. Sprzeciwiałoby się to kierunkowi rozwoju prawa międzynarodowego. który prowadzi do zacieśnienia węzłów, jednoczących współczesne państwa pod względem kulturalnym, społecznym i gospodarczym. Minęła już epoka, w której można się było odgradzać chińskiemi murami. Stosunki zagraniczne każdego państwa oparte są na całym szeregu traktatów, obejmujących większe lub mniejsze grupy uczestników.

Nie każdy jednak traktat oznacza ograniczenie lub skrępo-

wanie udzielności państwowej. Najpierw może się ten skutek wiązać z pozytywną jego treścią. Przypuśćmy, że na podstawie układu między dwoma państwami jedno z nich zobowiązuje się drugiemu odstąpić niektóre miejscowości na swojem terytoryum i przyznaje zarazem służebność wolnego przechodu przez resztę terytoryum. Chociaż ten układ będzie się przedstawiał jako akt zupełnie dobrowolny, chociaż w żadnym innym kierunku nie będzie on naruszał praw interesowanego państwa, to na tle tego ograniczenia jego udzielność może się przedstawiać bardzo mizernie. Przypuśćmy że państwo, któremu przyznano te przywileje, jest militarnie silniejszem od swojego sąsiada. Może wtedy odstąpione miejsca przeobrazić na potężne twierdze, utrzymywać w nich liczne załogi i rezultat będzie ten, że to drugie państwo straci zupełnie swobodę ruchów w dziedzinie wojskowej. Nie będzie mogło faktycznie prowadzić wojny z swoim sąsiadem, ani też z każdym innym, o ile to nie będzie dogadzało potężnemu protektorowi, tem samem więc będzie skrępowane w swoich stosunkach zagranicznych, będzie się musiało zadowolnić autonomią wewnętrzną.

Czasami znów istotne znaczenie w układzie międzynarodowym jest termin, na który ten układ jest zawarty. Niebezpieczną dla niepodległości państwa może być bezterminowość, a nawet już sama długoterminowość układu. Rzecz ta jest bardzo doniosła przy zawieraniu traktatów handlowych i wojskowych przymierzy. Udzielne państwa zawierają przymierza militarne, by się zabezpieczyć przeciw wspólnym wrogom lub też wspólnie poprowadzić politykę zdobyczy. Jest to rzecz zwyczajna w polityce państw. Ale zawsze te alianse mają przejściowy, bardzo często nawet przelotny charakter. Są wyrazem pewnej konjunktury międzynarodowej i zmieniają się, gdy tylko zmieni się ta konjunktura. Bardzo często nowe przymierze zawiera się z wczorajszym wrogiem. Inaczej jednak rzecz się przedstawia, gdy jeden naród jest związany z drugim wieczystą lub długoterminową konwencyą wojskową, której prawnie nie może wypowiedzieć przed upływem tego terminu. Jeżeli ten naród jest słabszym od kontrahenta, z którym zmuszony był zawrzeć „dobrowolną“ umowę, jeżeli między nimi niema istotnej wspólności interesów, to ten stosunek dla narodu słabszego stanie się ciężarem wprost nie do zniesienia, a zaś dla silniejszego terenem jego politycznej i militarnej ekspansyi. Podobnie rzecz się ma z układami gospodarczymi. Wieczysty układ handlowy, któ-

rego nie można zmienić, może poprostu odebrać samodzielność gospodarstwu narodowemu słabszego uczestnika. Na nic się tu nie zda, że uratowane są pozory państwowej udzielności. Naród, który na podstawie swojej woli wyrzeka się swojej samodzielności, nie jest niepodległym, taksamo jak ten naród, który nigdy nie znał niepodległości. Dobrowolne zaprzedanie się w niewolę jest jeszcze czemś gorszem, niż urodzenie się w tym stanie.

Ważnym jest również moment, w którym państwo zawiera traktaty i przymierza, z uwagi na stopień jego państwowej organizacyi. Gdy państwo dopiero się tworzy, winno od podstaw budować swoją samodzielność, nie zaś odrazu współdziałać w obmyśleniu ram, które ją mają skrępować. Wiadomo dobrze, że jeżeli jednostka słaba, nierozwinięta, wejdzie w stosunek z jednostką dojrzałą, stosunek ten przy złej woli mocniejszego uczestnika może stać się dla drugiego źródłem wyzysku. A zaś nieuczciwi protektorzy i opiekunowie bardzo chętnie wchodzą w takie stosunki, by je wyzyskać dla własnej korzyści. Kwestya zawierania przymierzy, traktatów, wogóle zewnętrznych stosunków państwa może dopiero wtedy być uregulowana z korzyścią dla niego, gdy wewnętrzne podstawy jego życia są już dostatecznie umocnione.

Wreszcie o jednem trzeba pamiętać. Jeżeli przymierze zawiera czynnik słaby z jakiemś potężnem państwem lub też ze zwartą ich grupą, to jest prawdopodobnem, że ten stosunek sił znajdzie wyraz w warunkach traktatu i że ten traktat będzie stanowił *societatem leoninam* ze szkodą owego słabszego czynnika. Otóż bardzo wiele zależy od tego, ile państw uczestniczy w regulowaniu tych stosunków międzynarodowych. Słabe państwo wyjdzie licho w układach z potężnem mocarstwem, o ile tylko z niem może zawierać traktaty; ale uzyska bardzo korzystne warunki, jeżeli będzie mogło wybierać między dwoma mocarstwami, które współzawodniczą z sobą. W cieniu walk potężnych państw kryje się bezpiecznie samodzielność słabych jednostek. Dlatego też wszystkie tworzące się dopiero organizmy państwowe nie chciały regulować swojego losu wyłącznie tylko w porozumieniu z potężnymi sąsiadami, lecz odwoływały się do opinii całego świata, chcąc wyzyskać w pełni grę międzynarodowych antagonizmów. Nie Polska pierwsza strzeże zazdrośnie „międzynarodowości“ swojej sprawy, wbrew machinacyom swoich samozwańczych

przedstawicieli. Grecya, Serbia, Rumunia, Bułgarya itd., wogóle wszelkie dopiero się wyzwalające narody, usilnie dbały o to, by swoim losem zainteresować jak najwięcej państw, oczekiwały zawsze ich zbiorowej interwencyi, zawsze liczyły na europejskie kongresy. Prawda, że te kongresy czasami zawodziły ich nadzieje, lecz jeszcze mniej widoków uzyskania czegokolwiek było na drodze porozumienia się z bezpośrednio interesowanemi państwami. Te państwa, zazwyczaj graniczące z wyzwalającym się narodem, strzegły zazdrośnie tego, by z swoich rąk nie wypuszczać tej lub innej kwestyi; oświadczały niejednokrotnie, że one same ją uregulują, bez udziału obcych czynników. Jasną jest rzeczą, że to zacieśnienie tej lub innej „sprawy" nie jest niczem innem, jak próbą ograniczenia niepodległości interesowanego narodu, utrzymania go w stosunku faktycznej, jeżeli już nie nominalnej zależności od siebie. Pod tym względem nic się nie zmieniło po dzień dzisiejszy.

Widzimy więc, w jak różnorodny sposób, przez zawieranie traktatów i przymierzy, może naród swoją niepodległość przeobrazić w pustą formę bez treści. Analogiczne niebezpieczeństwa występują także wtedy, gdy naród wchodzi w trwały prawno-państwowy stosunek z innym narodem. Oczywiście, że nie trzeba już mówić o wypadkach, w których ten stosunek nie jest oparty na zasadzie równorzędności obydwu czynników, w których np. naród uzyskuje tylko autonomię państwową pod tą lub inną postacią. Ale przypatrzmy się takim formom państwa złożonego, jak np. unia realna. Teoretycznie biorąc, udzielność obydwu państw, między któremi zawarta zostaje unia realna, jest nienaruszona. Mają niektóre organy wspólne, przynajmniej panującego, ale żadne z nich, prawnie biorąc, nie pozostaje w stosunku zależności od drugiego. Ale wyobraźmy sobie, że ta unia realna istnieje między potężnem mocarstwem a słabszem państwem; że wspólność naczelnej władzy pociąga za sobą wspólność wojskową i jedność gospodarczą; to wtedy, gdy panujący jest obcym dla słabszego narodu, gdy naród silniejszy uzyskuje faktyczną przewagę w wojskowem kierownictwie, gdy jednostronnie może nadawać kierunek polityce gospodarczej, faktycznie nie ma mowy o niepodległości tego słabszego narodu. Warunki jego bytu niczem się nie różnią od zwyczajnej autonomii państwowej, mimo przeciwnych pozorów, mimo poszanowania wszelkich symboli udzielności.

Dlatego trzeba mocno zaznaczyć: ostrożnie z wszelkimi ukła-

dami, wszelkiemi przymierzami! Jeżeli się je zawrze w ciągu toczącej się wojny, będą one płodem, który przedwcześnie na świat przyszedł. Różnemi drogami wiodą te układy do krępowania z góry niepodległego bytu narodowego. Jest rzeczą zrozumiałą, że obce czynniki dążą do jak najszybszego ich zawarcia, gdyż dla nich im wcześniej, tem lepiej. Może nie uda się osiągnąć w pełni zamierzonego celu, to przynajmniej zdołają skompromitować nasze dążenie do niepodległości. Ale jest rzeczą mniej zrozumiałą, że te machinacye znajdują podatne narzędzie w polskiem społeczeństwie, że są czynniki, które gotowe są zrezygnować z pełnej niepodległości, udzielność narodu uczynić przedmiotem kompromisu. Wszystko ma swoje granice, także i dzielnicowy oportunizm, który za cenę iluzorycznych zresztą, doraźnych korzyści, handluje tem, czem ma prawo rozporządzać jedynie cały naród.

Dr. M. Z. S.

Dwie Trylogie. — (Dumas a Sienkiewicz).

Henryk Sienkiewicz napisaniem *Trylogii* nie tylko zadziwił czytelników, nie tylko pozyskał sobie serca narodu i trwałą kartę w literaturze ojczystej, ale ogromem dokonanego dzieła tak dalece zaciekawił też i rozcietrzewił *invisum genus poetarum, artificum,* że, choć pochyliło przed nim głowy z uznaniem, na wyścigi starało się jednak rozmaitymi zarzutami odzyskać równorzędność z podziwianym autorem i wyświetleniem źródeł jego blasku umniejszyć zbytnią chwałę.

Odpowiedzią na napaści krytyczne, obroną piękną i wymowną Sienkiewicza przed surowością krytyków, a zarazem wyrazem doskonałym hołdu i czci dla autora *Trylogii* jest studyum St. Tarnowskiego. Ono też, poraz pierwszy, zbijało stawiane zarzuty co do zależności *Trylogii* od dzieła Dumasa i z powodu ułożenia *Trylogii* na wzór Trójcy Dumasowskiej i z powodu uprowadzenia czwórki przyjaciół, rzekomo odbicia Atosa, Portosa, Aramisa i d'Artagnana, jakby liczba czterech upoważniała do wysnuwania odrazu podobieństw, a nawet, przytoczeniem listu Klaczki, narzekającego na rozwlekłość czasem, zbytek scen *de capa y espada,* zbytek nadludzkich junactw, *à la* Aleksander Dumas, zbytek cudownych ocaleń, uznało ten wmawiany wzór za szkodliwy [1]).

Dzieło Tarnowskiego wyznaczyło godne miejsce autorowi *Trylogii* w historyi polskiej literatury.

Z kolei trzeba się było zająć omówieniem bezstronnem, objektywnem twórczości Sienkiewicza.

Uznaną już wielkość, „najpoczytniejszego i najukochańszego

---

[1]) St. Tarnowski, *H. Sienkiewicz,* Kraków 1897, str. 81, 85, 145, 186.

wśród ziomków, a najgłośniejszego i najbardziej znanego wśród obcych“, przedstawić w spokojnem, krytycznem oświetleniu, podjął się Piotr Chmielowski. Wyłoniła się więc naturalnie i kwestya wpływów. Chmielowski zawyrokował, że Dumas był doradcą autora *Trylogii,* w skreśleniu sceny na stepie, w kształcie prologu utrzymanej, dopatrzył się wzoru Dumasa, zauważył, że „Zagłoba, Podbipięta, Wołodyjowski to jakby Portos, Atos i Aramis w towarzystwie d'Artagnana — Skrzetuskiego“, a u powieściopisarzy francuskich znalazł dla Sienkiewicza i pobudkę i zachętę do brawurowego traktowania przedmiotu w *Potopie.* Szczególnie miał tu zaważyć Dumas, bo jak w *Ogniem i Mieczem* osoby i sytuacye przypominają *Trzech Muszkieterów,* tak parę scen w *Potopie,* że tylko dla przykładu przytoczę pogoń za Bogusławem, ma analogie uderzające z dalszym ciągiem owej Dumasowskiej epopei p. n. *W dwadzieścia lat później* [1]).

Na tem bodaj wyczerpują się dotychczasowe uwagi o wpływie Dumasa na *Trylogię,* uwagi nigdy nie uzasadnione szerzej, przeważnie ograniczające się tylko do gołosłownych twierdzeń, jakoby „grupa trzech przyjaciół: Zagłoba, Podbipięta i Wołodyjowski była artystycznem przetworzeniem *Trzech muszkieterów* Dumasa“, a zwłaszcza jakoby Zagłoba był połączeniem szekspirowskiego Falstaffa i dumasowskiego Portosa z typem staroszlacheckim [2]).

Warto się głębiej nieco i obszerniej zastanowić nad podobieństwami tych dwóch trylogii i ustaleniem zależności, oraz sprostowaniem błędnych spostrzeżeń.

Że Dumasa znał Sienkiewicz, o tem nikt nie wątpi. Co więcej: autor *Trzech muszkieterów* był dobrym znajomym Sienkiewicza już na ławach szkolnych. W rozmowie z głośnym tłomaczem swych dzieł, p. Jeremiaszem Curtin, przyznaje się Sienkiewicz, że nie był nigdy celującym uczniem, „ani w szkołach początkowych, ani w gimnazyum. Byłem czem innem zajęty — powiada — czytałem powieści: Bardzo często, gdy trzeba się było uczyć, ja zagłębiałem się w Skocie lub Dumasie [3]). Również kolega Sienkie-

---

[1]) P. Chmielowski, *H. Sienkiewicz w oświetleniu krytycznem,* Lwów 1901, str. 59, 72, 83, 107.

[2]) M. Mann: *Powieść polska od r. 1831,* str. 176. *Dzieje lit. pięknej w Polsce.* Część II. Encyklopedya Polska t. XXII.

[3]) *Tyg. Illustrowany,* nr. 10, r. 1900, str. 197. *Artykuł J. Muczkowskiego* p. t.: Jeremiasz Curtin i jego zdanie o Sienkiewiczu.

wicza ze Szkoły Głównej, Julian Ochorowicz, zaświadcza; na pytanie: co nadawało główny charakter jego twórczości, mianowicie w powieściach historycznych, to na to odpowiedział mi całkiem otwarcie, że na podkładzie młodzieńczego upodobania do kronik staropolskich, głównym bodźcem był dla niego zachwyt nad utworami Al. Dumasa, szczególnie zaś nad dziejami jego *Trzech muszkieterów* [1]).

Dumas, na młody umysł musiał oddziałać potężnie, ognistą wyobraźnią, nagromadzeniem niezwykłych awanturniczych przygód, postaciami o zakroju olbrzymów. Lekki, zbudowany zręcznie dyalog jego powieści, szybki pęd obrazów, zachwycały młodzieńca i zapisały się w pamięci.

W latach dojrzalszych wiele wspomnień z lektury się zatarło, cała 'jaskrawość opowieści i pozorna tylko ważność i wielkość akcyi, zmalała do właściwych jej wymiarów, w pamięci mogło pozostać tylko wspomnienie dzielnych muszkieterów i niezwykłych ich czynów.

Nie miała bowiem powieść Dumasa historycznej wartości i nie mogła już w czasach młodości Sienkiewicza imponować prymitywną próbą wydobycia kolorytu, a nawet sama treść musiała się wydać wielce naciąganą i przez podporządkowanie wielkich wypadków jednostkom miernym i przez przypisywanie zajściom małym — epokowego znaczenia.

Tłem historycznem powieści *Trzej muszkieterowie* są niesnaski i ukrywana zawiść między królem Ludwikiem XIII-tym a kardynałem Richelieu, wszechwładnym ministrem, oraz zawiść jawna kardynała do królowej Anny Austryaczki, nieszczęśliwej z mężem głównie przez intrygi ministra, zwalczającego też bezwzględnie milorda Buckingham, gorącej choć tajonej miłości królowej. A więc i tu, jak i u Sienkiewicza, główną rolę w zawiązaniu powieści odgrywa kobieta, ona jest *causa belli*, tylko że w *Trylogii* wobec postawy i potęgi Kozaków, wobec klęsk spadających na polskie ziemie, pustoszone ogniem i mieczem, zapomina się rychło o pani Chmielnickiej jako o Helenie trojańskiej i patrzy się na wypadki na Ukrainie jako na ważny moment dziejowy, w działalności zaś kardynała Richelieu i w jego doborze środków walki, nie trudno

---

[1]) Julian Ochorowicz, *O H. S. ze stanowiska psychologii.* Szkoła Główna Sienkiewiczowi. Warszawa 1917, str. 31.

dopatrywać się ciągle, upokarzanego i mszczącego się za opór kochanka królowej.

W dalszym ciągu *Trzech muszkieterów*, w powieści *W dwadzieścia lat później*, tło historyczne nieco się pogłębia przez wprowadzenie postaci Karola I-go, króla angielskiego i dzielnej jego żony, przypominającej niezłomnością Maryę Ludwikę. Podobieństwo z *Potopem* zwiększa się przez analogiczne usiłowanie Jana Kazimierza powrotu do zbuntowanego kraju. Różnice jednak i w przebiegu tych usiłowań i w ich ostatecznym wyniku są bardzo wielkie. Podobnie małą w zestawieniu z *Potopem* wyda się wojna domowa króla, raczej kanclerza Mazariniego z panem de Beaufort i całą frondą, zakończona ugodowo dzięki pomysłowości muszkieterów. Większe podobieństwo z ostatnimi tomami *Potopu* wykaże dopiero początek trzeciej części *Trylogii* Dumasa: powieść p. t. *Wicehrabia de Bragelonne*. Opisane tam położenie Karola II, szukającego schronienia i pomocy we Francyi przeciw zbuntowanym Anglikom, przypomina los Jana Kazimierza na Śląsku, tylko, że powrót do kraju ma król angielski nadmiernie ułatwiony, dzięki niezwykłemu pomysłowi d'Artagnana, polującego w Anglii na zrobienie olbrzymiego majątku, gdy polski król orężnie musi zwalczać przeciwnika i może liczyć tylko na bezinteresowną pomoc swych rodaków.

Po takim szerszym nieco wstępie ogranicza się wkrótce zakończenie *Trylogii* Dumasa wyłącznie do dworskiej intrygi, staje się widownią ścierań się wzajemnych Colberta z Fouquetem, zabiegów miłosnych Henryki angielskiej, Ludwika XIV-go i panny la Valière, a nawet śmiałemu pomysłowi Aramisa, przeprowadzenia zmiany tronu we Francyi, odmawia szlachetniejszych i głębszych pobudek. Epizodycznie traktowana wyprawa księcia de Beaufort do Afryki i dodany w epilogu rzut oka na wojnę z Holandyą, nie zmieniają wrażenia, że w przeciwieństwie do *Trylogii* Sienkiewicza, historycznie doskonałej, mimo surowych zarzutów Kaczkowskiego, olbrzymia *Trylogia* Dumasa jest przeważnie tylko zręczną kroniką dworskich intryg, pozbawioną wielkich scen i wielkich postaci historycznych.

Gdyby ktoś chciał koniecznie dopatrywać się wzorów dla skreślenia słabego króla Jana Kazimierza, to mógłby pokusić się o wykazanie pokrewieństwa z Ludwikiem XIII-tym, udałoby mu się może uznać w Jeremim „próżność" chwalenia się dzielnością

swych żołnierzy [1]), za pokrewną chełpliwości Ludwika XIII-go z wychowanków pana de Treville [2]), rolę intryganta Bogusława zestawiłby z rolą Rocheforta, a w stosunku księcia do Oleńki dosłyszałby echo zalecanek królewskich do de la Valière, ale musiałby dojść ostatecznie do wniosku, że to tylko dalekie podobieństwa i że o świadomem naśladownictwie niema mowy.

Na sąd podobnie stanowczy nie można się zdobyć, gdy z kolei przejdziemy od tła historycznego do właściwego romansu, od postaci historycznych do bohaterów romansowych.

Dostrzeżemy pewne podobieństwo już w samej budowie fabuły.

Sienkiewicz podobnie jak Dumas tworzy stale dwa obozy: jeden, przy którym jest cała sympatya autora, to obóz wierny królowi; drugi, wrogi mu i autorowi niemiły, to zdrajcy króla i ojczyzny. U Dumasa w pierwszym prym trzymają muszkieterowie, w drugim przerazi nas Milady i syn jej Mordaut. Ulubieńców opromienia humor łagodny. Czasem pozwoli sobie wprawdzie Dumas, jak Sienkiewicz z Zagłoby czy Wołodyjowskiego, na jakiś żarcik z bohaterów, na lekką nawet ironię, kocha ich jednak całą duszą, i gdy np. takiego Portosa uśmierci, to zapłacze nad nim serdecznie i, jak zapewnia syn, będzie powtarzał: „Biedny Portos! Wielka gnębi mnie troska. Portos nie żyje“, — wrogów zaś króla potraktuje jak wrogów własnych i sowicie obdarzy ich satyrą, ironią i odrazą.

Sama fabuła *Trylogii* jest konwencyonalna, odgrywa w niej dużą rolę porwanie, np. Katarzyny Bonacieux z rozkazu Milady, czy generała Moncka z woli d'Artagnana, czy nawet ujęcie i uwięzienie Ludwika XIV-go według planu Aramisa, do rozwoju akcyi pomagają cudowne ocalenia: jak ucieczka pana de Beaufort z wieży Vincennes, lub niezwykłe oswobodzenie się muszkieterów z więzów Mazariniego, oba środki tak ulubione przez Sienkiewicza i stosowane nietylko w *Trylogii*, ale i w *Quo vadis*, w *Krzyżakach*, a jeszcze i *W pustyni i puszczy*. Ale z konwencyonalności fabuł sześciu powieści historycznych Sienkiewicza podrwiwać i przy *Trylogii* o naśladowaniu Dumasa-ojca mówić, mogli tylko krytycy,

---

[1]) *Pisma H. Sienkiewicza*,, tom 46, str. 36.

[2]) Al. Dumas: *Trzej muszkieterowie*, tłom. St. Sierosławski. Wydawnictwo najsław. pow. świata. T. I.

nie liczący się z tradycyą literacką.[1]) Ta sama (bowiem) tradycya, która wymaga śmierci bohatera w tragedyi, a zaręczyn czy wesela w komedyi, dyktuje romansopisarzom stały wątek opowiadania [2]).

Dumas obdarza każdą z swych ważniejszych postaci kilkoma naczelnymi rysami. Podobnie postępuje Sienkiewicz. Niektóre rysy zasadnicze ich bohaterów są wspólne. I tak: Atos wysokie ma pojęcie o honorze żołnierza, niezwykłą powagę i zdolność poświęcania się jak Skrzetuski, Aramis w kochliwości współzawodnika znajdzie w Wołodyjowskim, krewkość d'Artagnana i jego pomysłowość odziedziczą Kmicic i Zagłoba, Portosowi dorówna w pijatyce pan Onufry, a przewyższy go o całe niebo w dowcipie (mówiąc nawiasem: u Dumasa dowcipem posługuje się zręcznie tylko d'Artagnan), Rzędzian w miłości do kieski odnajdzie rodzonego brata w Planchecie, wkońcu Anusia Borzobohata może za swą starszą siostrę poczytać wesołą, przekomarzającą się mile, pannę Montalais.

Prócz rysów naczelnych obdarza też chętnie Dumas swych bohaterów stałym dodatkiem. W usta d'Artagnana wkłada np. charakterystyczne, filozoficzne „ba!", kończące każde rozumowanie i krewkie zaklęcie „Mordioux", Portosowi każe akcentować zawsze „ja" i „mój", co najlepiej uwydatnia się przy zachwalaniu przez niego majętności, odziedziczonej po pani Coquenard, Aramisowi podsuwa stale myśli o klasztorze. Sienkiewicz postępuje podobnie. Przy wyprowadzeniu na scenę Wołodyjowskiego uruchomia natychmiast jego wąsiki i szabelkę, Zagłobie poda usłużnie dzban i obdarzy go konceptem, Ketlingowi dozwoli wzdychać dowoli, Podbipięcie mówić o ślubie i Zerwikapturze, Anusi zerkać, Basi główką potrząsać i zadzierać nosek, a Nowowiejskiemu sięgać do wąsów.

U Dumasa wprost rażąco, a u Sienkiewicza zręcznie i z osiągnięciem iluzyi estetycznej, całą akcyę nie tylko romansową, ale i historyczną prowadzą osoby wymyślone, ich dzieje łączą się

---

[1]) Obok wymienionych i *Na polu chwały*. Jest to zresztą jedyna powieść Sienkiewicza, w której planowane przez Marcyana Krzepeckiego, porwanie panny Sienińskiej, nie powiodło się, a napastnik stracił ucho.

[2]) T. Sinko: *Genealogia romansu europejskiego*. Museion. Rok II, nr. 12, sfrona 5.

bardzo ściśle z wypadkami historycznymi, zwycięstwo bohaterów jest zarazem zwycięstwem całego obozu.

Możnaby szczegółowo przeprowadzić podobieństwo techniki powieściowej Sienkiewicza z techniką Dumasa, ale byłby to trud zbyteczny, bo Dumas nie jest nowatorem w budowie powieściowej i trzebaby przez Dumasa sięgnąć dopiero do Scotta i innych jeszcze powieściopisarzy XIX w., by pokusić się o wierne ustalenie wzorów budowy polskiej *Trylogii*.

Poprzestaniemy więc na tych, najbardziej uderzających w oczy, podobieństwach.

Zresztą dopatrywanie wzorów skierowane jest głównie na postacie, i tem wypada się zająć obszerniej.

A więc przedewszystkiem Portos. Jest to jegomość już niemłody, mężny, okazały, jak Zagłoba przechwala się szczęściem do kobiet, umizga się do nich zgrabnie i ostatecznie z większym rezultatem niż jego polski krewniak. Apetyt ma niezwykły, pociąg do trunku zdecydowany, przy każdej potrawie umie podać wiele gastronomicznych wyjaśnień. ma nawet swoje uprzedzenia w jedzeniu, np. stroni od ciastek, bo te „niepotrzebnie rozdymają żołądek i zajmują w nim miejsce, któreby co innego użyteczniej zająć mogło". Jest przytem mocno zarozumiały i czuły na punkcie honoru. Marzy o pałeczkach barona, które pięknie ozdobiłyby i tak już przydługi tytuł: du Vallon de Bracieux de Pierrefonds, a kiedy je szczęśliwie zdobędzie, celem zabiegów stanie się dla niego tytuł księcia. Jako szlachcic jest wprost nietykalny. Nawet krawcowi tknąć się nie dozwoli. Miarą ubrań dla pana du Vallon jest sługa jego Mouston, a gdy z powodu nadmiernej otyłości zaufańca, koniecznie musi sam Portos wziąć miarę, to pozwoli mierzyć, ale tylko w lustrze odbicie swej godnej osoby. Niczem Zagłoba, pospolitujący się z Bohunem, wściekający się na chamskich synów Kozaków za ich bunty i z oburzeniem stwierdzający dwukrotnie, że „chamski miód" wcale niezły. Jak Zagłoba żywi i Portos uczucia serdeczne dla przyjaciół, poświęca się za nich ochotnie, wkońcu jak Zagłoba godnością regimentarza, tak i Portos obarczony jest przez autora rolą niewspółmierną z jego uzdolnieniem i nieodpowiednią jego wartości intelektualnej. Poczciwemu panu du Vallon mocno nie do twarzy z powagą genialnego inżyniera fortu Belle Isle-en-Mer. Jeszcze na regimentarstwo Zagłoby, niewyczerpanego w pomysłach, o umyśle, jak zapewniają współcześni, prawdziwie

kanclerskim, łatwiej się można zgodzić, niż uwierzyć w zdolności inżynierskie mało rozgarniętego Portosa. Między Portosem a Zagłobą jest cała przepaść. Wspólne mają tylko niektóre rysy, rzucające na nich oświetlenie komiczne, różnią się komizmem podmiotowym, którego całe skarby gromadzi dowcip i pomysłowość Zagłoby, a którego u Portosa tak niewiele. Portos to przedewszystkiem figura komiczna. Niektóre czyny jego równają się czynom Gargantui i Pantagruela, ale będą to tylko popisy siłacza i żarłoka [1]). Gdy się odezwie, to śmiejemy się nie z dowcipu, na który wyjątkowo się wysili, ale z olbrzyma zdobywającego się na tak nikły sąd, czy znów tak łatwo dającego się zwodzić d'Artagnanowi, namawiającemu go do postępienia wbrew woli Fouqueta, czy Aramisowi, uważającemu przyjaciela za ślepe narzędzie swych pomysłów. Portosowi brak nawet naiwności: jest wprost głupi. I głupocie Portosa przypisać należy komizm opowiadania o pożytkach wiejskiego pożycia, stąd wypływa i jego komplement dla Ludwika XIV-go, że dobrze je, stąd i wyborna scena wyzwania hr. Saint-Agnan, w której druzgocze, z niezwykłą powagą, przeciwnika, niezrozumiałymi dla siebie zarzutami: mieszkanie, klapa i portret. Toteż komizm ściga Portosa nawet za grób, bawi on nas bowiem swą dobrodusznością jeszcze i w testamencie. Z niego mógł doskonale zebrać materyał Molier do swej komedyi *Mieszczanin uszlachcony*, Sienkiewicz do postaci Zagłoby znajdował zaledwie kilka znakomitych rysów zewnętrznych, kilka efektów komizmu przedmiotowego, ale komizmu podmiotowego, który stanowi o wielkości komicznej Zagłoby, próżnoby w tej postaci Dumasa szukał. Pod tym względem mógł mu być wzorem tylko d'Artagnan.

Wiekiem, krewkością, niezwykłą drażliwością, szalonem męstwem i brawurową odwagą, a nawet wielu czynami przypomni go w *Potopie* „okrutny jeden ladaco, ale rezolutny kawaler" —

---

[1]) Siłę Portosa odziedziczyli w *Trylogii*: Longinus, młody Nowowiejski i pan Muszalski. Przeprowadzenie szczegółowe podobieństw Portosa z Longinusem (takie zestawienie podaje *J. Ochorowicz*, str. 31) wykazałoby, że w ich łatwowierności jest jednak wielka różnica, jaka zajść musi między człowiekiem ograniczonym umysłowo a naiwnym. Obżarstwo przejął od Portosa Zagłoba. Z humorem mówi o tem w *Ogniem i mieczem* Sienkiewicz: „ile Zagłoba zjadał i wypijał, daremnie spisywać, bo rzecz wiarę ludzką przechodzi". *H. S. Pisma*, t. 42, str. 103.

Kmicic-Babinicz. O d'Artagnanie powtórzyłby Richelieu bez zmiany słowa księcia Janusza o panu Andrzeju: „On? Mógłbyś mu kazać do Carogrodu jechać i sułtana z tronu ściągnąć, albo królowi szwedzkiemu brodę oderwać i do Kiejdan ją przywieść". Prawdę tych słów poświadczy muszkieter porwaniem angielskiego wodza ze środka jego obozu, a powtórzy ten czyn szalony Kmicic schwytaniem Bogusława. W rozmowach Kmicica z panem Kiejdańskim zabrzmi echo ostrych przemówień d'Artagnana do króla Ludwika XIV-go. Wkońcu można z powodzeniem zestawić ucieczkę muszkietera z więzienia Mazariniego z szczęśliwem wydobyciem się Kmicica ze szweckiej niewoli. Kmicicowi humoru nie brak, bajeczne są np. niektóre jego porównania, ale rolę niewyczerpanego w kawałach kpiarza, górującego sprytem nad otoczeniem, prawdziwej ucieczki przyjaciół, skarbnicy przebogatej pomysłów, odgrywa nie on, lecz Zagłoba. Otóż podobne stanowisko zajmuje u Dumasa d'Artagnan. Pomysłowość jego przejawia się w pokierowaniu szczęśliwem wyprawy do Anglii, w uwolnieniu Aramisa i Atosa z niewoli, w planach ucieczki Karola I-go, w ocaleniu towarzyszy przed grożącem niebezpieczeństwem w podminowanym okręcie, w świetnem wydostaniu się z kleszczy Mazariniego i uwikłaniu kanclerza w jego własne sidła, wkońcu choćby w sprytnem poszukiwaniu zysków w Anglii, dla spółki handlowej zawartej z Planchetem, albo w umiejętnem sprzedaniu słomy w Saint-Germain, po „cenach maksymalnych". Jak Zagłoba Wołodyjowskiego z klasztoru, tak on potrafi wydobyć Aramisa z oberży Crévecour od ksiąg teologicznych i od zgorszonego Jezuity i proboszcza. Często cała *vis comica* spoczywa na d'Artagnanie, około którego kręci się właściwie cała akcya. Pomysłowość i spryt olbrzymi, stanowczość i bystrość wielka, niefrasobliwość w czasie działania, a pewne zniechęcenie i zgryźliwość po dokonaniu zamiaru, a przytem dowcip iście gaskoński i dobre, czułe serce, oto główne rysy muszkietera.

Znakomite są jego monologi, np. ten, po założeniu spółki z Planchetem, gdy stopniowo zmniejsza swój orszak z czterdziestu ludzi na dziesięciu, nie tylko dla większej swobody, ale i dla oszczędności. Bawi nas doskonale u króla, kiedy z powagą nie do naśladowania, odrzuca propozycyę wykupna szabli generała Moncka za 200.000 liwrów, szablę oddaje królowi darmo, a bierze 300.000. Jeszcze zabawniejszym się staje, gdy król go postraszył,

że generał może zechce się zemścić za niemiłą jazdę w pace przez kanał angielski. Tłomaczy wtedy wymownie generałowi, że król się z przypadku Moncka naigrawa, że wielkie tkwi niebezpieczeństwo śmieszności dla wicekróla, gdyby się ta historya rozgłosiła i że on jeden może złemu zaradzić, jeśli bez przeszkód i to jak najszybciej zjawi się wśród towarzyszy we Francyi.

Naturalnie, że różnic między d'Artagnanem a Zagłobą więcej niż podobieństw. Choćby jedna dla przykładu: d'Artagnan to w całem słowie — żołnierz, Zagłoba nigdy nie przestaje być starym wolentaryuszem. Co więcej: nawet Portos zmieszany z d'Artagnanem, to tylko część Zagłoby. I nie dziwota. Bo choćbyśmy nawet przeprowadzili, bardzo zresztą pouczające, zestawienie Zagłoby nie tylko z tymi bohaterami Dumasa, ale i z *Żołnierzem Samochwałem* Plauta, z Falstaffem, z Burzywojem czy Papkinem, z Borejszą z *Beniowskiego,* jak chce Kallenbach [1]), czy z Żytkiewiczem Czajkowskiego z powieści *Stefan Czarniecki,* jak chce Wojciechowski [2]), czy z *Tartarinem z Tarascon* Daudeta, a choćby i z późniejszym *Cyranem de Bergerac* Rostanda, to Zagłoba każdego z nich może uznać za krewniaka, ale *vir incomparabilis,* Achilles i Ulisses w jednej osobie, z każdym porównanie wytrzyma, wszystkich dowcipem i sprytem przewyższy, i z łatwością nas przekona o prawdzie sądu przyjaciela Wołodyjowskiego, że „już co do fortelów, nikt nie może iść z nim w paragon“ [3]).

Przeczyć wpływom Dumasa na powstanie *Trylogii* nie można, zbyt są, jak widzieliśmy, liczne i niektóre nawet zupełnie wyraźne. Trzeba uwierzyć, jeśli już nie zestawieniom, to samemu Sienkiewiczowi, który się jawnie do zależności od *Trzech muszkieterów* przyznaje, tylko tę zależność trzeba określić jako upodobanie w czynach muszkieterów, jako poszukiwanie dla tego upodobania odpowiedniego wyrazu i po szczęśliwem znalezieniu na drugiej półkuli rodaków, przypominających żywo bohaterów Dumasa, już wpływ ten godzi się ograniczyć do samodzielnego, twórczego, sportretowania spotkanych postaci. Karta *Ze wspomnień tułacza*

---

[1]) Rocznik Ak. Um. w Krakowie 1917. J. Kallenbach, *Twórczość H. S.,* str. 73.

[2]) Pamiętnik literacki 1916. K. Wojciechowski, *Protoplasta Zagłoby,* str. 104—111.

[3]) *H. S. Pisma* tom 62, str. 162.

Zbigniewa K. [1]) i pamiętnik Heleny Modrzejewskiej [2]) podają nam wierny portret Zagłoby. Był nim kapitan Korwin Piotrowski i z wyglądu (miał nawet bielmo na oku) i z dowcipu kubek w kubek podobny do polskiego Fastoffa. Łgał jak jak pies, klął siarczyście, działanie przepisanego mu przez lekarza mleka, łagodził nalewając do szklanki dwie trzecie koniaku, sypał na prawo i lewo dowcipami, sunął w koperczaki do każdej przystojnej dzierlatki, przechwalał się, niczem przyjaciel chanów i pogromca królów, swymi czynami i podbojami miłosnymi we wszystkich częściach świata, a język miał tak jędrny, krewki i dosadny, że Sienkiewicz mógł go uznać za „nietknięty zabytek z czasów Paskowych“ i wprost zaprosić do odegrania głównej roli komicznej w powieści. Modrzejewska kończy barwny obrazek, poświęcony kapitanowi, słowami: ci, „co znali ten prototyp Zagłoby, a potem poznali Zagłobę, ocenić mogą w całej pełni moc twórczą Henryka Sienkiewicza“.

Z naszej strony dodamy, że pochwycenie rysów Piotrowskiego umożliwiło, a nawet może spowodowało, wspominane już upodobanie w powieści i bohaterach Dumasa. Ono też, naturalnie przy wrodzonym talencie obserwacyjnym, pozwoliło Sienkiewiczowi schwycić kilka rysów z żołnierza-emigranta Bednarskiego, kawalera „romantycznego“ i wielce wrażliwego na urodę niewieścią i przekazać Wołodyjowskiemu, ono uczyniło „bardzo chudego, bardzo wysokiego i małomównego“ kapitana Wojciechowskiego żywem odbiciem Longinusa, i ono zaważyło w umyśle powieściopisarza, gdy trzy cienie na piaszczystej drodze z San Francisco stały się podnietą do stworzenia niezrównanej trójcy: Zagłoby, Podbipięty i Wołodyjowskiego.

Krytyk francuski Parigot upatruje w czwórce dumasowskich przyjaciół cztery zasadnicze właściwości swych rodaków; dowcip, uprzedzenie, honor i pretensyonalność. [3]) Bohaterowie Sienkiewicza uzupełniają się też wzajemnie i może o nich trafnie powiedzieć Zagłoba: „Widzę, szukaliśmy się wszyscy w korcu maku, ale też i dobraliśmy się we czterech, tak, że takiej czwórki w całej Rzeczypospolitej nie znajdziesz. Dalibóg, z Waćpanami i z księciem

---

[1]) *Kraj.* Rok 1899, nr. 1, str. 22 i 23.

[2]) *Czas.* Rok 1910. Wycinek 39, 41, 42, 44.

[3]) *Les grands écrivains français.* Paris 1902. *Al. Dumas-père* par Hippolyte Parigot, str. 142.

naszym na czele ruszyłbym samopięt choćby na sztambuł." [1]) Naturalne, że tak dobrana czwórka dokonała wiele czynów niezwykłych, a że niejeden z tego zbioru wysiłków bohaterskich przypomniał mimowoli czyny Atosa, Portosa, d'Artagnana czy Aramisa, to wobec uznania pewnej tradycyonalności układu powieści historycznych nie dziwne i raczej ogarnia nas podziw nad odrębnością Sienkiewicza i duma z jego pod każdym względem wyższości nad uznawanym wzorem, niż chęć dogodzenia żyłce krytycznej i stosowania metody, złośliwie nazwanej przez Adama Grzymałę-Siedleckiego „podjadkową akcyą akcyźników literatury, który ze swoim szpikulcem badają, co który z polskich twórców ma do oclenia."

Dla przykładu odrębności Sienkiewicza trzy zestawienia:

Jak w *Muszkieterach* przeważnie trzymają się razem Portos i Aramis, tak znów w *Trylogii* obok Zagłoby prawie zawsze Wołodyjowski. Stosunek ich jednak do siebie jest wprost odwrotny. Aramis wyzyskuje siłę i dobroć Portosa nawet dla swych osobistych celów, Wołodyjowski ochrania wprawdzie przyjaciela szablą, ale w fortelach stale przyznaje mu pierwszeństwo. Co więcej: Wołodyjowski jest powolny Zagłobie, ale zawsze dopiero po namyśle, po zgłębieniu po swojemu planu Ulissesa, Portos ufa bezgranicznie przyjacielowi, nigdy nie rozważa, bo wogóle myśleć nie zwykły i daje się wodzić na pasku.

Albo drugi przykład: Portos broni się w pieczarze Lokmaryi niczem Zagłoba na strychu, ginie bohaterską śmiercią pod gruzami, jak Wołodyjowski w Kamieńcu, ale ofiarą jest tylko wyzysku, poświęca się dla przyjaciela, walczy w sprawie osobistej; „mały rycerz" składa dobrowolnie życie na ołtarzu Ojczyzny.

Wkońcu porównajmy świat kobiet. Czyniło i czyni się zarzuty Sienkiewiczowi, że Helena, Krzysia, Oleńka, to postacie papierowe, a Basia w swej zuchwałości przesadna. Wiele w tych sądach słuszności; i nie sposób nie przyznać, że panna Montalais, czy la Valière, czy piękna Milady, więcej mają w sobie prawdy i pewniej stąpają po ziemi. Ale wątpię, czy zgodzilibyśmy się na wymianę bohaterek, a nawet pewny jestem, że wprowadzenie na miejsce idealizowanej polskiej kobiety, np. zakonnicy z Templenar, napiętnowanej, wyuzdanej zbrodniarki i szpiega kardynała, skaziłoby piękno

---

[1]) *H. S. Pisma* tom 45, str. 137.

polskiej powieści historycznej i zabiłoby słowa, cisnące się na usta Polaka, jako wyraz podziwu przy lekturze *Trylogii;* czuję, że Sienkiewicz „jest jakiś ogromnie miły i taki bardzo mój“.[1])

Gdy się zaś ten urok powieści Sienkiewicza bada, to w miarę zagłębiania się w treść, uwypukla się plastyka powieściopisarza, potężnieje wielkość epicka jego postaci, porywa nas poezya i prostota, jędrność i dosadność języka, wiążą wspaniałe obrazy, podziw budzi znajomość epoki i zdolność wyczuwania tego, co prawdziwie polskie. Wtedy też staje się zrozumiałym ten niezwykły objaw zaciekawienia, jaki towarzyszył ukazaniu się *Trylogii* i ta serdeczna miłość i uznanie, jakie mimo upływu lat, dla niej wzrasta. Toteż każdy rozumny rozbiór krytyczny *Trylogii* musi zakończyć wniosek, i tak dotychczas w krytyce naszej bywało, że *Trylogia* to najpiękniejsza powieść historyczna polska, a twórca jej pisarz pierwszorzędny.

Tymczasem echa tryumfu *Trzech muszkieterów* dawno już przebrzmiały. Krytycy francuscy o Dumasie-ojcu, jako powieściopisarzu, wspominają rzadko i z wielkiemi zastrzeżeniami.[2]) Przyznają mu zgodnie wielki talent dramatyczny i sztukę *Antony* zwą obok *Hernani'ego* i *Chatterton'a* programowym dramatem romantyków, ale o powieściopisarzu wyrażają się tylko jako o zdetronizowanym królu felietonów, o żywotności dzieł felietonowej.

Zaliczenie Dumasa, obok Wiktora Hugo i Alfreda de Vigny do twórców dramatu nowoczesnego, wyznacza zarazem autorowi *Trzech muszkieterów* właściwe stanowisko. Dumas jest przedewszystkiem dramaturgiem. Powieść lekceważy i traktuje ją po macoszemu. Wprowadzając do powieści technikę dramatyczną, mimo odrębności jej wymagań i ustalonych pewnych prawideł,

---

[1]) Antoni Potocki, *Szkice i wrażenia literackie.* Lwów 1903, str. 1,

[2]) Strowski Fortunat, *Obraz lit. franc. XIX w.*, przekład Rakowskiej-Olgenbrand, nie wspomina słowem o Dumasie, jako powieściopisarzu. Lanson G., *Histoire de la Littérature française,* III. E. Paris 1895, zaznacza, że Dumas tylko dramatom zawdzięcza swe miejsce w literaturze, str. 962. L. Petit de Julleville, *Littérature française,* Paris 1899. v. VIII, str. 420-1, nie dostrzega nic „literackiego“ w czterdziestoletniej twórczości Dumasa, twierdzi, że jedynem zadaniem powieściopisarza było bawić czytelnika i powieści jego uważa za *l' irrémediable décadence d'un genre équivoque et bâtard, qui tourne presque tout de suite au roman feuilleton.* Powtarza sąd francuskich krytyków Suchier H. i Birch-Hirschfeld A., *Geschichte d. Franc. Litt.*, Leipzig, Wien 1900, str. 645, nazywając Dumasa *der Scribe des Romans.*

zaniedbuje wykończenie charakterów, nie dba o język, pomija zupełnie opisy przyrody, tak ważną odgrywające rolę u Sienkiewicza, popełnia szereg anachronizmów, byle tylko akcya była interesująca, osoby pozostawały w ciągłym ruchu i namiętności, przemawiały wymownie. Zapęd romantyczny jednego ze sterników romantyzmu, przejawia się w poszukiwaniu silnych przeżyć, w pogardzie dla realizmu i analizy, w lubowaniu się w przesadzonych obrazach i w upatrywaniu historyczności w samem nadaniu stworzonym postaciom imion historycznych i narzuceniu odpowiednich szat.

Jeszcze jedno podobieństwo Sienkiewicza z Dumasem nasuwa nam nakoniec porównanie pracy nad powieścią u obu powieściopisarzy. I tak: czynnikiem ujemnym, który silnie krępował i utrudniał kompozycyę *Trylogii* Sienkiewicza, a wprost zaciężył nad powieściami Dumasa, była konieczność pisania z dnia na dzień do dziennikarskiego wycinka. U Dumasa wywołało to pośpiech szkodliwy, naginanie się do smaku czytelników i wydłużanie, często nużące, romansu do wielkości potrzeb materyalnych, pokrywanych opłatą od wiersza. Pellisier nazywa ten rodzaj twórczości: *la manutention bourgeoise „sur" la combinaison artistique.*[1]) W piekarni tej spłonął piękny talent Dumasa, nie zdobywając się na nic, w dziedzinie powieści, prawdziwie pięknego[2]), że zaś Sienkiewicz opanował opały zwycięsko i obdarzył rodaków powieścią, która jak *Pan Tadeusz* stała się czarownem słowem, co rozczuliło rozpacz marmurową i niosło pokrzepienie serc, i łzom przystygłym wypłynąć pozwoliło i pod każdą polską strzechą zamieszkało jako skarb cenny, narodowy: najmilsza polska książka, która nadto w spisie powieści historycznych całego świata, zyskała miejsce zaszczytne, to tryumf prawdziwy powieściopisarza na chwałę naszej literatury.

Stefan Papée.

---

[1]) *Le mouvement littéraire au XIX siècle.* Paris. Hachette Neuvième edition, str. 237.

[2]) Dr. H. P. Junker. *Grundriss d. Geschichte d. franc. Litteratur,* str. 356.

Sztuka a społeczeństwo.

(Dokończenie).

Rozważania te dały nam zarazem odpowiedź na pytanie nasze, czy sztuka jest społeczeństwu potrzebna. Bo jeśli zbiorowość ludzka nie może istnieć bez uczuciowego porozumiewania się między sobą, nie może oczywiście istnieć bez sztuki, która tego porozumiewania się najlepszym jest sposobem. Świat bez sztuki stałby się jednem, wielkiem, ponurem więzieniem. Ludzie bez sztuki wyrodziliby się w złych, zgryźliwych mizantropów, którzy prędzej czy później wymordowaliby się wzajemnie. „Aby się utrzymać przy życiu, trzeba je przedewszystkiem cenić i ukochać, a to jest niemożliwem bez sztuki“, powiada Stanisław Brzozowski.

Potrzeba sztuki jest zatem jednym z zasadniczych motorów życia ludzkiego, jak miłość i głód. Nie może się bez niej ostać ani pierwotny troglodyta, który na kości mamuta czy renifera wycinał niezdarne figury, ani dzisiejszy człowiek kulturalny ze swymi kościołami, muzeami i teatrami. Nawet człowiek najbardziej uczuciowo tępy, najbardziej obcy sztuce, a nawet wrogo dla niej usposobiony, jednego kroku uczynić nie może, aby się nie natknąć na przejawy sztuki, a co więcej, aby nie potrzebować ich niezbędnie do życia. Wszystkie przedmioty codziennego użytku, mieszkanie ze ścianami malowanemi w pewien deseń i z piecami kaflowymi również jakimś ornamentem ozdobionymi, sprzęty domowe, mniej lub więcej ozdobne, serwisy, dywany, krój i kolor ubrań, krawatek i obuwia, kształt kałamarzy, rączek do piór, popielniczek — wszystko to wykazuje mniej lub więcej wybitny wpływ sztuki. Dopiero dzięki niej wszystkie przedmioty martwe i obce otaczają się atmosferą uczuciową, która sprawia, że stają się blizkie i żywe.

Nie masz mieszkania choćby najbardziej ubogiego chłopa lub robotnika, w któremby nie było jakiegoś barwnego kilimu lub chusty na łóżku, jakiegoś olejodruku na ścianie lub kwiatka na oknie. A wszystko to jest wynikiem niezwalczonej potrzeby sztuki. Żaden przemysł, choćby najbardziej poziomym celom służący, nie może obyć się bez sztuki.

„Człowiek, jako jednostka i jako tłum — pisze Witkiewicz — z chwilą, w której zaczyna przejawiać jakiekolwiek przebłyski życia duszy, potrzebuje bezwzględnie tworzyć sztukę i doznawać od niej wrażeń. Bez sztuki żyć mogą tylko święci".

A skoro tak jest, możemy być pewni, że ani taki kataklizm społeczny jak wojna, ani wytężona praca nad odbudową życia po wojnie — nie rozbiją sztuki, ani jej z życia nie usuną. Możemy być też spokojni o losy sztuki w przyszłem państwie naszem. Im normalniejsze będzie nasze życie narodowe, tem intensywniej będziemy pielęgnować i popierać sztukę. Czynić to bowiem będzie nie gaszący ducha rząd obcy, ale ożywiający go własny rząd polski. W niepodległej, suwerennej, zjednoczonej Polsce z dostępem do morza, sztuka będzie nadal tem, czem była za czasów niewoli, najwierniejszym obrazem naszej duszy zbiorowej, naszej nieskażonej rasy.

Tylko obraz ten będzie bardziej czysty, jasny i pełny, a nadewszystko potężny i dumny i radosny.

Pozostanie jeszcze do rozważenia kwestya, jak powinien ukształtować się normalny, zdrowy stosunek artystów do społeczeństwa i odwrotnie.

W tej mierze podnoszą się ze strony artystów głosy, przepojone zbytnim pesymizmem lub domagające się dla przedstawicieli sztuki stanowiska zbyt uprzywilejowanego. Na takim gruncie stanęła świeżo redakcya poznańskiego „Zdroju". Według jej przekonania, pomiędzy poetą a otoczeniem istnieje tragiczna przepaść. Są to rzekomo dwa światy zupełnie sobie obce. Społeczeństwo nie rozumie poetów i odnosi się do nich obojętnie, a nawet wrogo. Poeci — a określenie to obejmuje twórców wogóle — są to owe lampy wieczne, w których jedynie płomień ducha przechowuje się z pokolenia na pokolenie, wokoło zaś rozlega się mrok przyziemnych interesów, zmateryalizowanego krótkowidztwa i nienawiści do wszystkiego, co nie jest związane z potrzebami chwili. Poetom, owym inkarnacyom wieczystych, zaświatowych tęsknot duszy ludz-

kiej, odmawia się należnego im, przodowniczego miejsca w społeczeństwie, na którego czoło wysuwają się czciciele Molocha, niewolnicy pieniądza i dosytu.

W takiem postawieniu kwestyi mieści się pewna doza słuszności i dużo przesady.

Postulat przyznania poetom jakiegoś wyjątkowego stanowiska wodzów i kierowników społeczeństwo jest szczątkowym przeżytkiem pierwotnych, nieskomplikowanych społeczeństw o nastroju teokratycznym. Wśród takiego, napół jeszcze koczowniczego ludu, jakim byli znani nam ze Starego testamentu Izraelici, mogli kapłani i prorocy odgrywać rolę naczelną. Żaden jednakże dzisiejszy organizm społeczny nie zniósłby takiego układu stosunków. Skomplikowane i daleko posuniętej spekulacyi wymagające funkcye nowożytnych społeczeństw nie zniosłyby jakiejkolwiek arystokracyi. To też ów dostrzeżony przez Bismarcka fakt, że w poezyi naszej za dużo jest polityki, da się wytłumaczyć jedynie anormalnością warunków naszego narodowego bytu. W żadnem zdrowo żyjącem społeczeństwie, ujętem w ustrój państwowy, nie dałoby się nawet pomyśleć, aby poeci mogli i chcieli podejmować zadania, które z natury rzeczy należą do zawodowych mężów stanu.

W dzisiejszem różnopostaciowem i wielostronnem życiu zbiorowem poeta, twórca sztuki, stał się tak samo specyalistą-fachowcem, jak jest nim każdy inny ukwalifikowany pracownik. Terenem, na którym działa n. p. ekonomista są sprawy gospodarcze społeczeństwa. Terenem działalności poety są natomiast sprawy dotyczące życia uczuciowego, jednostkowego i zbiorowego. Jak celem tamtego jest przysporzenie możliwie największego dobrobytu swemu społeczeństwu, tak tego cel stanowi wynalezienie możliwie najlepszego wyrazu zmysłowego dla objawów życia uczuciowego ludzi związanych w to społeczeństwo. Tylko w tym znacznie ciaśniejszym zakresie artyści mogą i powinni zajmować stanowisko przodownicze. Tu są oni twórcami i prawodawcami, wszyscy inni tylko odbiorcami, biernymi konsumentami. Co prawda, pomimo tego ograniczenia, teren działalności artystów jest znacznie obszerniejszy, niż innych specyalistów. Skoro bowiem — jak stwierdziliśmy wyżej — każda sfera życia ludzkiego, chociażby najbardziej racyonalistyczna i każdy objaw życiowy, choćby najbardziej rozumowy, ma swoje wartości uczuciowe, wynika z tego, że poeta ma niewątpliwą legitymacyę do wciągnięcia w zakres

swej specyalności każdej innej dziedziny życia, wszakże tylko pod tym warunkiem, że nie wyjdzie poza jej elementy uczuciowe. Powieściopisarz może n. p. doskonale przedstawić tło uczuciowe życia chłopów, fabrykantów, górników czy żołnierzy, nie wynika jednak z tego wcale, aby równocześnie musiał być dobrym rolnikiem, dyrektorem fabryki, kierownikiem kopalni lub generałem.

Jeśli niektórzy chcieliby poetów, artystów, wysunąć na czoło zbiorowego życia, to dzieje się to dlatego, że życie uczuciowe, którego znawcami i kodyfikatorami są artyści, tworzy ostatecznie najgłębszy sens życia, najbardziej podstawową jego wartość, gdyż ono decyduje o szczęściu i nieszczęściu jednostki, o jej sile lub słabości. Życie uczuciowe nie wyczerpuje jednak całego człowieka. Owszem zawisłe jest od całego szeregu innych czynników, na które artyści nie mają żadnego wpływu. Popełnia się zatem gruby błąd, bierze się *partem pro toto*, jeśli organizatorów jednej chociażby bardzo ważnej sfery życia ludzkiego, chce się uczynić prawodawcami całokształtu bytu i działań człowieka.

To jedno zastrzeżenie, które należy uczynić wobec owych skrajnych zapatrywań.

Drugie dotyczy postulatu zrozumienia i uznania twórców przez społeczeństwo.

Żądanie, aby społeczeństwo w całej pełni rozumiało dzieło twórców i oceniało ich wielkość jest nieziszczalne, gdyż zawiera samo w sobie sprzeczność i niemożliwość. Twórcą bowiem we właściwem znaczeniu nazwać można tylko tego, kto stwarza naprawdę nowe, dotąd nieznane, wartości. Jest rzeczą jasną, że tego rodzaju nowe zdobycze nie mogą stać się odrazu własnością ogółu. W każdej dziedzinie życia nowatorstwa muszą spotykać się z uprzedzeniem i nieufnością, gdyż natura ludzka jest konserwatywna i wymaga dłuższego czasu, aby się oswoić ze zmianami, zwłaszcza radykalnemi i przyzwyczaić się do nich. Z szczególną jaskrawością występuje ten fakt w sferze sztuki, której terenem jest element tak delikatny i wrażliwy, jak uczuciowość ludzka. Genialny twórca sztuki wyprzedza zawsze swój czas, ogarnia horyzonty, które inni współludzie spostrzegą dopiero za lat kilkadziesiąt, schodzi do głębin duszy, których przepaście i wykroty grożą zatratą niewprawnym umysłom. Potrzeba często długich lat powolnego lecz ciągłego oddziaływania, a nadto całego kompleksu odkryć naukowych, a nawet technicznych i zmian społecznych, słowem

musi przeminąć kilka faz rozwoju umysłowego, aby idee, stworzone w iście wieszczem natchnieniu przez genialnych twórców przeszły w krew i ciało społeczeństwa, aby społeczeństwo to zrozumiało dzieła sztuki, które z początku były dla niego całkiem ciemne. Przykładów nawet z naszej literatury nie potrzeba szukać daleko. Jeszcze Stanisław Tarnowski z całem przekonaniem o swej słuszności twierdził, że „Król-Duch“ Słowackiego jest dziełem umysłu przyćmionego, w którem brak już nie tylko duchowego i logicznego, ale nawet gramatycznego sensu. A przecież dziś wspaniały ten poemat jest zupełnie przystępny dla każdego przeciętnie inteligentnego człowieka, a nawet stanowi przedmiot lektury w szkołach średnich.

Są, co prawda, artyści wysokiej nawet miary, których utwory odrazu zyskują uznanie i popularność u wszystkich, nie wyłączając t. zw. „maluczkich“. Lecz artyści ci nigdy nie byli i nie będą twórcami nowych wartości, a znaczenie ich polega tylko na tem, że umieli dać niezwykle silny i pełny wyraz ideom i uczuciom, które oddawna tkwiły w społeczeństwie i krążyły w jego żyłach. Jestem jak najdalszy od tego, aby umniejszać zasługę i wielkość Sienkiewicza. Ale i największy jego wielbiciel musi przyznać, że nie był on z rodu Ajschylosa, Danta, Szekspira i Mickiewicza, że nie był jednym z tych, którzy stare gaszą, a nowe zapalają słońce.

Genialny, prawdziwy twórca musi być niezrozumiany przez współczesne społeczeństwo. To jest prawo, po prostu biologiczne, którego skutki można łagodzić, uśmierzać, ale którego usunąć się nie da. Bo albo twórca musiałby obniżyć lot, a wtedy przestałby być twórcą, albo społeczeństwo musiałoby się składać z samych geniuszów, co jest absurdem. Św. Franciszek, wygłaszający kazanie wobec ryb, pozostanie chyba nazawsze symbolem stosunku twórcy do współczesności. Mimo to twórcy tworzyć będą zawsze samotni i niedocenieni, bo mocy i wytrwałości dodaje im głębokie poczucie własnej wartości, przeświadczenie, że ich trud i męka nie pójdą na marne, bo prędzej, czy później przyjdzie czas, kiedy ich krew serdeczna stanie się pokarmem dla całych rzesz.

I nazawsze pozostaną prawdą słowa Norwida:

„Syn minie pismo, lecz ty spomnisz, wnuku,
Co znika dzisiaj, (ich czytane sądem)
Za panowania pantheizmu druku,
Pod ołowianej litery urzędem —
I, jak zdarzało się na rzymskim bruku,
Mając pod stopy katakumb korytarz,
Nad czołem słońce i jaw ufny w błędzie,
Tak znów odczyta on, co ty dziś czytasz,
Ale on spomni mnie.., bo mnie nie będzie!“

Postulat uznania twórców przez współczesność wymaga również wyjaśnienia i restrykcyi. Tylko bowiem bardzo niewykwintnym i próżnym naturom może zależeć na oklaskach, bankietach, jubileuszach i całej tej nużącej wrzawie, którą przynosi z sobą sława. Nie o dymy pochwalnych kadzideł tu idzie, lecz o wytworzenie w społeczeństwie atmosfery przynajmniej na tyle sympatycznej, aby dzieła twórcy nie padały w próżnię, aby nie wytwarzała się dokoła niego pustka wroga i paraliżująca, a przynajmniej, aby miał możność zrealizowania tych swoich pomysłów, których urzeczywistnienie wymaga pomocy społeczeństwa.

Pod tym względem bowiem dzieją się istotne tragedye. Wiadomo, że Słowacki nie miał możności zobaczenia ani jednego swego dramatu na scenie, że olbrzymia postać Norwida byłaby nam do dziś pozostała nieznana, gdyby Miriam nie był jej wygrzebał z pod ziemi, jak posąg antyczny, że genialne kompozycye witrażowe Wyspiańskiego nie ozdobiły okien katedry wawelskiej, dla której były przeznaczone, i że ten sam Wyspiański, choć był najwybitniejszym u nas artystą teatru, nie mógł całego szeregu swych dogmatów odziać w kształty rzeczywistości teatralnej.

Wszystko to są nieliczne przykłady codziennie niemal rozgrywającej się tragedyi na tle dysonansu pomiędzy twórcą a społeczeństwem. Rozdźwięk ten wyrządza kulturze realną szkodę i hamuje jej rozwój.

Czy i jak możnaby go usunąć, a przynajmniej zmniejszyć, jak zaradzić złemu? Czy przez intenzywniejsze, niż dotąd, wychowanie młodzieży w kierunku estetycznem? Żadną miarą. Nasze szkoły średnie, grzeszą raczej nadmiarem, niż brakiem pod tym względem. One właśnie produkują gromady tych pseudo-estetów i pseudo-znawców sztuki, którzy pętają wzloty twórczych skrzydeł. Wszak u nas każdy, kto w gimnazyum zapoznał się powierzchownie z Homerem, Wergilim, Horacym, Goethem, Schillerem i z po-

etami polskimi, uważa się już z tego tytułu za znawcę poezyi, ukwalifikowanego co najmniej do zasiadania w komisyach teatralnych. Każdy kto w szkole usłyszał coś piąte przez dziesiąte o Raffaelu i Michale Aniele, a nadto oglądnął kilka wystaw we Lwowie lub Krakowie, sądzi już, że jest niepospolitym znawcą sztuki. Wszak właśnie komitety, złożone z takich pseudointeligentnych pseudoznawców sztuki utrąciły wawelskie witraże Wyspiańskiego.

Trzeba zatem szukać innych środków zaradźczych. Wolałbym już, aby w tych wypadkach, kiedy społeczeństwo ma rozstrzygać o wykonaniu pewnych dzieł sztuki, decydował o tem rodzaj plebiscytu szerokich warstw, dla których dzieło to ma być przeznaczone, bo te szerokie warstwy mają naogół znacznie zdrowszy i mniej uprzedzony sąd estetyczny, niż zacieśnione przestarzałemi formułkami mózgi t. zw. znawców sztuki. Ale, pomijając techniczne trudności urządzenia takiego plebiscytu, i w tym wypadku rezultat byłby bardzo często ujemny, a w każdym razie zależny od wpływów zbyt zmiennych i nieuchwytnych. Pozostają więc komitety, ale nie takie, do jakich jesteśmy przyzwyczajeni. Do komitetów bowiem, złożonych — jak to się u nas z reguły dzieje — z radców miejskich, dostojników duchownych, profesorów i hrabiów, mających prywatne galerye — nie można mieć żadnego zaufania. Powinni w skład ich wchodzić przedewszystkiem rzeczywiście ukwalifikowani krytycy sztuki. Oni są bowiem właściwymi, najbardziej powołanymi pośrednikami pomiędzy twórcami a społeczeństwem, oni są tymi idealnymi, najbardziej wrażliwymi i uczuciowo najlepiej przystosowanymi odbiorcami, konsumentami sztuki, którzy publiczność uczą czytać, słuchać i patrzeć. Oczywiście mam tu na myśli krytyków prawdziwych, a nie owych pseudokrytycznych nieuków, którzy na szpaltach pism codziennych ferują zbrodniczo lekkomyślne wyroki o dziełach pracy i talentu. W interesie uzdrowienia i rozwoju krytyki leżałoby, ażeby ta nieodpowiedzialna bazgranina estetyzujących niemowląt i zdziecinniałych starców stała się zupełnie niemożliwą. Cel ten osiągnęłoby się najłatwiej wówczas, gdyby pisma codzienne, poświęcone polityce i wypadkom chwili bieżącej, zdecydowały się wogóle nie umieszczać artykułów o sztuce. Wówczas bowiem z konieczności całe piśmiennictwo krytyczne musiałoby się przenieść do fachowych pism literackich i artystycznych, z czego potrójna wynikłaby korzyść. Dla krytyki, która uwolniona od chwastów i pasorzytów, mogłaby rozwijać się

normalnie, gdyż pisma fachowe musiałyby dokonywać ściślejszej selekcyi pomiędzy piszącymi i nie dawałyby dostępu samozwańcom krytycznym; dla publiczności, która niewprowadzana ustawicznie w błąd, kształciłaby i doskonaliła swój smak estetyczny; i wreszcie dla szerszych pism artystycznych i literackich, które mogłyby dzięki takiemu monopolowi utrwalić swój byt, gdyż publiczność, nie znajdując w dziennikach wiadomości o sztuce i literaturze, musiałaby po nie sięgać do pism specyalnych. Komitety, złożone z prawdziwie ukwalifikowanych, śmiałych, szczerych i z duchem czasu naprzód idących krytyków sztuki, byłyby najbardziej powołane do decydowania wówczas, gdy wykonanie dzieła twórczego wymaga aprobaty i pomocy społeczeństwa. Ale krytyków takich u nas wogóle nie wielu, a i ci, którzy są, nie cieszą się popularnością właśnie z powodu samodzielności i odwagi swych przekonań. Musiałoby się więc komitety owe uzupełniać i to najlepiej jeszcze z grona samych twórców. Jest to, co prawda, sposób mający swe złe strony, bo wiadomo, że wielcy twórcy bywają bardzo jednostronni i nie umieją sprawiedliwie oceniać dział innych twórców, odmiennemi kroczących drogami. Michał Anioł nienawidził sztuki Raffaela, Byron pogardzał Petrarką, Mickiewicz nie doceniał Słowackiego i t. d. Przykłady możnaby mnożyć bez końca, aż do dni współczesnych. W każdym razie jednak komitety, złożone z krytyków i twórców, zwłaszcza, jeśli mieliby do nich dostęp także przedstawiciele najnowszych, rewolucyjnych prądów w sztuce, dawałyby rękojmę możliwie najlepszego rozwiązania trudnego zadania, o które nam idzie, bo ludzie tworzący, pomimo wszelkich skrajności i zacietrzewień, mają bądź co bądź za dużo czucia artystycznego i zbyt wiele szacunku dla sztuki, aby mogli poniżyć się do uśmiercenia dzieła wybitnego talentu i do zostawienia w jego miejsce jakiejś zdawkowej miernoty.

I w tym punkcie rozważanie moje same przez się nawiązują się do pięknego pomysłu Żeromskiego, który niedawno rzucił myśl stworzenia polskiej Akademii literackiej. Nie kto inny właśnie, jak owa Akademia literacka, pomnożona o sekcyę sztuk plastycznych i muzyki, stanowiłaby gotowe i stałe komitety artystyczne, do których społeczeństwo mogłoby i powinnoby udawać się po radę i decyzyę w konkretnych kwestyach dotyczących sztuki.

W ten sposób wypełniłaby ona w sposób możliwie najdoskonalszy pierwsze z uprawnionych żądań twórców w stosunku do

społeczeństwa: dałaby im moralną możność tworzenia, zbliżyłaby twórców do odbiorców, wytworzyłaby ową sympatyczną atmosferę, o której poprzednio wspomniałem.

Ale nie koniec na tem. Akademia taka mogłaby nadto przyczyniać się skutecznie do dania twórcom materyalnej możności tworzenia, byłaby ciałem najbardziej powołanem do wskazywania społeczeństwu, a raczej jego organowi administracyjnemu, t. j. rządowi tych osób, oddających się sztuce, które ono powinno własnym kosztem kształcić i utrzymywać. Postulat utrzymywania twórców przez społeczeństwo powinien rozumieć się sam przez się, bo skoro — jak wyżej wykazano — sztuka jest społeczeństwu niezbędnie potrzebna, powinno to społeczeństwo dawać tak samo możność egzestencyi swoim poetom, artystom-plastykom i muzykom, jak ją daje swym przemysłowcom, rękodzielnikom, urzędnikom i żołnierzom. Akademia zatem literacko-artystyczna wskazywałyby państwu tych młodych adeptów sztuki i poezyi, którzy zasługują na stypendya i zasiłki, umożliwiające im kształcenie się zagranicą, ona także przedstawiałaby wnioski co do wypłacania twórcom — w razie potrzeby — stałych pensyi z funduszów publicznych. Sprawa pensyi dla literatów i artystów, dotąd załatwiona pomyślnie tylko w państwach skandynawskich, powinna także w przyszłem państwie polskiem doczekać się godziwego rozwiązania. U nas bowiem sprawa ta jest bardziej piekąca, niż w innych społeczeństwach, które zdobyły ogólną zamożność i przodujące stanowisko w świecie nie tylko w zakresie polityki, przemysłu i handlu, ale także sztuki. We Francyi jeden utwór teatralny, który „pójdzie“, jedna powieść, która się podoba, daje swemu autorowi możność spokojnego i dostatniego życia. U nas trzeba chyba być Sienkiewiczem, aby móc utrzymać się przyzwoicie z pracy literackiej. Inni albo przymierają z głodu albo, jeśli chcą tego uniknąć, zatracają powoli zdrowie i talent w redakcyach dzienników, w rozmaitych biurach i salach szkolnych. Nic zatem sprawiedliwszego ponad żądanie, aby państwo przyszło takim artystom z pomocą przez przyznanie im pensyi. Nie wytrąci to chyba z równowagi budżetu państwowego, jeśli do bezmiaru płac dla różnego rodzaju urzędników i emerytów dołączy się kilkadziesiąt pensyi dla wybitnych artystów i literatów, którzy przecież o wiele cenniejsze oddają społeczeństwu usługi, niż przeciętni sędziowie czy funkcyonaryusze administracyjni.

Wymieniona Akademia czuwałaby wreszcie nad tem, aby żadne dzieło wartościowe nie pozostało w ukryciu dla braku nakładcy, rzeczą jej byłoby także zapobieganie wyzyskowi ludzi tworzących ze strony księgarzy i handlarzy sztuki.

Trzecie uzasadnione prawo, które społeczeństwo powinno przyznać twórcom bez zastrzeżeń, to zupełna wolność tworzenia. Sztuka, jeśli nie ma zwyrodnieć, musi być wolną, musi zrzucić z siebie wszelkie więzy społeczne, polityczne, moralne i religijne. Jeśli szanujące siebie społeczeństwa domagają się słusznie wolności prasy, z tym większym naciskiem winny domagać się zupełnej wolności sztuki. Postulat ten, którego namiętnie bronią twórcy współcześni, z niemniejszą mocą wysuwał już — między innymi — Wiktor Hugo: „Sztuka — pisał — nie ma nic wspólnego ze smyczą, kajdanami i kneblami. Ona mówi: Idź! I wpuszcza cię w ten wielki ogród poezyi, gdzie niema owoców zakazanych. Czas i przestrzeń należą do poety. Niechże więc idzie, dokąd zechce i czyni, co mu się podoba. To jego prawo. Poeta jest wolny".

Jeśli społeczeństwo jest zdania, że niektóre dzieła ujemnie wpływają na moralność pewnych jego kół, n. p. na dorastającą młodzież, to niech się postara o to aby takie książki nie dostawały się do rąk młodzieży. Pod żadnym jednak warunkiem nie wolno mu ograniczać swobody tworzenia. Zresztą żadne prawdziwe dzieło sztuki nie może być niemoralne, może być niemoralnym tylko czytelnik, na takiego zaś nie ma wogóle żadnego sposobu, gdyż człowiek tego pokroju potrafi znaleść plugastwo nawet w najczystszej modlitwie. Inaczej ma się sprawa z piśmidłami, które pod płaszczykiem rzekomego artyzmu, polują świadomie na zdeprawowane upodobanie lubieżników. Te mogą i powinny być tępione. I znów Akademia literacka byłaby powołana do orzekania, co jest sztuką, a co pornografią, czy innego rodzaju niechlujstwem, przyczem powinnaby postępować z jak największą ostrożnością, pamiętając o tem, że Bastylie i stosy Giordanów Brunów większą przyniosły szkodę ludzkości, niż n. p. poświęcone kultywowaniu wolnej miłości sekty Saninowskie, które powstały i przez krótki czas istniały w Rosyi po rewolucyi 1905 r. pod wpływem znanego dzieła Arcybaszewa. Zwłaszcza tym twórcom, którym państwo płaciłoby pensye, zupełna wolność drukowanego słowa musiałaby być jak najskrupulatniej zagwarantowana.

Odpowiedź na pytanie, czego nawzajem może i powinno do-

magać się społeczeństwo od twórców jest łatwa i krótka: po prostu tego samego, czego żąda od innych wytwórców produktów fizycznych lub duchowych, a więc, aby wyzyskiwali w jak najpełniejszej mierze swą możność tworzenia, żeby zatem nie marnowali swych talentów i aby utwory ich były rzetelnemi dziełami sztuki, a nie ich surogatami lub falsyfikatami. Zresztą kwestya ta reguluje się sama przez się, bo na rozmaitych farbowanych lisach i fałszywych bohaterach sztuki społeczeństwo poznaje się już obecnie bardzo rychło i naogół ocenia ich sprawiedliwie.

Problem stosunku społeczeństwa do sztuki, jeśli nie ma pozostać tematem literackim i środkiem narkotycznym dla zadowolenia pychy autorów, którym się zdaje, że są niedocenieni, musi być sprowadzony na teren socyologiczny i — jak każde inne zagadnienie z tego zakresu wiedzy — może być rozwiązany tylko przez jasne postawienie kwestyi, szczere zdanie sobie sprawy z tkwiących w niej trudności i przez kierowane dobrą wolą pragnienie takiego złagodzenia dysonansów, jakie jest możliwe do osiągnięcia. Wszelkie tragiczne załamywanie rąk i szumne frazesy, wynoszące poetów ponad chmury, przy równoczesnem spychaniu reszty społeczeństwa w bagno „dwunożnych bydląt“, mogą sprawę tylko zamącić i zagmatwać. Bądź co bądź nie przyniosą one pożytku ani społeczeństwu, ani poetom, ani samej sztuce.

Władysław Kozicki.

Notatki.

W drugiej połowie czerwca b. r. odbyła się we Francyi uroczystość wręczenia sztandarów czterech miast francuskich pierwszej dywizyi armii polskiej. O uroczystości tej przyniosły wiadomość pisma polskie; niektóre z nich, jak np. „Czas“ krakowski, polemizowały obszernie z przemówieniem prezydenta R. Poincarégo, wygłoszonem na tej uroczystości. Dla celów informacyjnych podajemy poniżej sprawozdanie z przebiegu uroczystości.

„Temps“ z dnia 22 czerwca b. r. zamieścił pod tytułem: „Wręczenie sztandarów polskim pułkom“ następujący artykuł:

„Dnia dzisiejszego odbyło się, w strefie działań wojennych, wręczenie sztandarów pierwszej dywizyi armii polskiej, utworzonej we Francyi na mocy dekretu z 4 czerwca 1917.

Ta dywizya, która obejmuje jednostki bojowe wszystkich rodzajów broni, przewidziane regulaminem francuskiej armii, jest utworzona wyłącznie z ochotników, pochodzących z różnych krajów, a w szczególności z Stanów Zjednoczonych. Jest ona samodzielną i posiada specyalny statut, dowodzą nią polscy oficerzy. W ten sposób, po raz pierwszy na froncie zachodnim, zjawia się armia polska, walcząca pod własnym sztandarem narodowym, pierwszy wyraz udzielności przyszłego państwa niepodległego, którego utworzenie uważają sprzymierzeńcy za jeden z warunków sprawiedliwego i trwałego pokoju i panowania prawa w Europie.

By podkreślić całe wielkie znaczenie, które ma ta uroczystość, udali się do obozu dywizyi: Prezydent Republiki w towarzystwie ministra spraw zagranicznych, jak również przewodniczący i członkowie Komitetu Narodowego Polskiego, delegaci wielkich

komisyi parlamentu, Misyi wojskowej francusko-polskiej i wysokie osobistości cywilne i wojskowe.

Po wręczeniu sztandarów przewodniczącemu Komitetu Narodowego Polskiego przez przedstawicieli czterech miast: Paryża, Verdun, Nancy i Belfortu, uroczystość odbyła się w sposób, określony przez tradycyę historyczną: msza celebrowana przez jednego z kapelanów armii polskiej, poświęcenie sztandarów, odczytanie i składanie przysięgi.

P. Roman Dmowski, przewodniczący K. N. P., wręczył następnie sztandary prezydentowi Republiki, wygłosiwszy przemówienie, w którem przypomniał węzły, jakie od tak długiego czasu wiążą Francyę i Polskę.

„Polska — powiedział on — widziała zawsze w tryumfie Francyi zwycięstwo swojej własnej sprawy. Polska rozumiała zawsze, że jej nieszczęścia znajdują żywe echo u narodu francuskiego“.

Zwracając się do żołnierzy armii polskiej, powiedział pan Dmowski:

„Wchodzicie do tej walki, nie jak wielu naszych nieszczęśliwych braci, nie jak niewolnicy, prowadzeni przez obcych dla obcej sprawy, lecz jak wierni synowie Polski, walczący o to, by uwolnić własną ojczyznę, by wydrzeć waszą ziemię z rąk nieprzyjacielskich. Walczycie o to, by raz na zawsze ustało panowanie obce i wyzysk naszej ziemi, o to, byśmy na nowo stali się panami u siebie, w Polsce wolnej i niezależnej. Walczycie wkońcu o to, by w nowej Polsce, która będzie otaczała wszystkie swoje dzieci równą miłością, byście w niej korzystali z wszystkich praw, jako obywatele, zespoleni w wysiłkach ku jej dobru, tak jak dziś jesteście zespoleni w walce o jej uwolnienie“.

P. Dmowski zakończył przemówienie słowami:

„Panie Prezydencie! Swoim dekretem stworzyłeś Pan tę armię, którą dziś widzisz przed sobą. Jako zwierzchnik Francyi, dałeś nam możność podniesienia na nowo polskiego sztandaru. Jako zwierzchnik Francyi, przedstawiciel sprawy sprzymierzonych, zechciej Pan wręczyć te sztandary armii polskiej. Polska nie ma dzisiaj swojej zwierzchniej władzy, lecz jest pewna, że ją uzyska dzięki Francyi i jej sprzymierzeńcom. Niechaj te sztandary, kołysząc się obok sztandarów Francyi i sprzymierzonych, poprowadzą żołnierzy polskich do zwy-

cięstwa w wielkiej sprawie wolności, drogiej zarówno Francyi jak i Polsce".

Potem Prezydent Republiki wygłosił do zgromadzonych wojsk następujące przemówienie, które zaraz odczytano w polskiem tłómaczeniu:

„Panowie! W imieniu Francyi pozdrawiam sztandary, które pod auspicyami Narodowego Komitetu Polskiego, ofiarowały armii polskiej miasta: Paryż, Nancy, Belfort i Verdun. Od półtora wieku przygarniał Paryż ze wzruszeniem synów męczeńskiej Polski; w Paryżu przeżył Kościuszko świetlane godziny swojej młodości i posępne godziny schyłku swego żywota; z Paryża wyruszył za morze, by jako towarzysz Washingtona i Lafayette'a, bronić młodej republiki amerykańskiej. Paryż oklaskiwał z entuzyazmem wzniosłe poezye Mickiewicza, Paryż otworzył mu wrota Kolegium francuskiego, Paryż opłakiwał go jak jedno z swych dzieci, gdy umarł w Konstantynopolu i gdy go przewieziono na wieczny spoczynek do Krakowa, gdzie leży obok Sobieskiego, Kościuszki i marszałka napoleońskiego, księcia Józefa Poniatowskiego. Nancy, wierna tłómaczka uczuć wdzięcznej Lotaryngii, wzniosła pomnik „Stanisławowi Dobroczyńcy". Nancy w kaplicy Bon Secours, wystawionej na wzór polskiego sanktuaryum, przechowuje z czcią grób Katarzyny Opalińskiej, mauzoleum Stanisława i serce Maryi Leszczyńskich. Pociski i bomby nieprzyjacielskie zakłócają codziennie królewski wdzięk tego miasta, a ono strzeże przeciw zamiarom wroga swoich pałacy, wodotrysków i portyków, nieocenionych skarbów, pozostawionych przez dobrego króla Polski tej starej stolicy Lotaryngii. Belfort jest czujną strażnicą, którą napróżno w poprzedniej wojnie usiłowali zdobyć Niemcy, a której tylko z daleka zdołali zagrozić w obecnej wojnie. Uważne spojrzenie Belfortu przebiega płaszczyznę alzacką i to miasto, świadek cierpień, doznawanych od prawie pół wieku przez francuskie prowincye pod obcem jarzmem, nie może nie współczuć długotrwałym torturom Polski. Imię Verdun zawsze będzie rozbrzmiewało w uszach ludzkości jako śpiew zwycięstwa i wyzwolenia. Verdun jest szańcem prawa i twierdzą wolności; Verdun, poświęcając się za Francyę, równocześnie poświęcało się za wszystkie gnębione narody, to też zasługuje na wdzięczność świata. Sztandary polskie, ofiarowane przez te piękne miasta, są godne szlachetnego kraju,

któremu zapowiadają odrodzenie i pięknych wojsk, które poprowadzą do boju.

Święte sztandary, tak podobne w swej świeżej krasie do sławnych sztandarów Piastów i Jagiellonów, wskrzeszacie te bohaterskie czasy, w których na szkarłatnem polu biały orzeł rozpinał dumnie swe skrzydła! Jak wiele wspomnień wy budzicie w pamięci Polski i Francyi! Jak świetnego znaczenia nabieracie w oczach wszystkich sprzymierzonych narodów!

Przypominacie Francyi widocznym wyrazem oburzenia mękę narodu i rozczłonkowanie ojczyzny; przypominacie długą przyjaźń, dawniej nazbyt często bezsilną, którą zachowaliśmy w nieszczęściu, przypominacie braterskie przyjęcie, zgotowane tym wygnańcom, ciągłe mieszanie się krwi polskiej z krwią francuską, walki stoczone wspólnie w szeregach wielkiej armii, a potem ciężkie próby, zniesione wspólnie w zimie roku 1870, a dzisiej w ciągu twardych lat obecnej wojny, tyle wspaniałych działań, dokonanych przez ochotników polskich, tyle protestów, przyniesionych w nasze szeregi przez polskich wieśniaków z Poznańskiego, znękanych przymusowem ich wcieleniem do pruskiego wojska.

Sztandary te mają dla tych oto dzielnych żołnierzy i dla całej Polski o wiele większą i świętszą siłę. Są one żywą ojczyzną, przeszłością, która odżywa w teraźniejszości, jutrzenką po nocy, wolnością po niewoli. Odtąd już synowie Polski nie będą walczyli pod obcymi znakami, będą mieli własne barwy. Przybywając w tak wielkiej liczbie z amerykańskiego kontyngentu, utworzą osobną armię, która walczyć będzie przy boku sprzymierzonych. Dni zbawiennego uniesienia, dni nadziei i wskrzeszenia! Podnosi się do narodowej krucyaty naród, który mimo gwałtu i mordu zachował nietkniętą swoją osobowość i swój język, który namiętnie pozostał wiernym swym tradycyom, który nie pozwolił zdusić swego głosu i zmazać swych roszczeń, którego nieśmiertelna dusza przejawiła się w wspaniałym rozkwicie sztuki i literatury. Niech te sztandary będą dla niego wyobrażeniem istotnej sprawiedliwości, znakiem zapowiadającym jego zjednoczenie i uzyskanie jego udzielności. Sztandary, ożywcie w sercach jego dzieci okrutne nauki wygnania i gorzkie lekcye nieubłaganej historyi. Pobudźcie jego energię ku naprawie, rozpłomieńcie go do najwyższych wysiłków.

Świat cały patrzy na was. Czyż los Polski mógłby pozostać

* * *

Politykowanie dzisiaj jest uciążliwe. Jednak nie uznają tych przeszkód żywioły aktywistyczne, tak ruchliwe, choć nie umiejące doprowadzić do ładu w różnych swoich „realnych“ programach. Niemal bez przerwy karmią nasze dzienniki ociężałych, mało wrażliwych czytelników wiadomościami, że oczywiście wielkie się dzieją

rzeczy, bo ten a ten uczony warszawski, bardzo chętnie trudniący się „państwowo twórczą pracą“ umiał znaleść już niewątpliwie dobre „rozwiązanie“, ocalające nasze interesy polityczne i narodowe. Zdarzeniem zaś ogromnie doniosłem jest łaskawy uśmiech najbardziej „miarodajnych“ czynników, od których ochoty zawisła cała rzecz, które mają decydować (zdaniem aktywistów). Zgodzą się na różne rozstrzygnięcia, byle władza ich poparła, pojadą wszędzie, zechcą związać się i ograniczyć, nie pytając drugich, byle raz na zawsze mogli unicestwić nowe wschodnie niebezpieczeństwo. Mając swoje oczy wytężone na tylko to jedno zjawisko, nie widzą całości sprawy. Ale aktywizm, choć nie ustaje w swoich staraniach, jest już mało groźny. Zbyt zwiększyła się przepaść między nim a całem społeczeństwem, które uczuwa chyba tylko ostry niesmak wobec upartej, a tak krótkowzrocznej polityki. Nawet sami aktywiści, choć zwiastują wciąż w mętny sposób „rozstrzygnięcia“, używają różnych sposobów, byle tylko społeczeństwu udowodnić, że ich polityka bynajmniej nie zwalcza innych jeszcze usiłowań, nie wyklucza akcyi naprawdę międzynarodowej. Łączność wśród żywiołów aktywistycznych jest fikcyjna. Solidarność ich jest złamana. Mimo pozorów konsolidacyi, aktywizm nie umie ujednostajnić swej linii, występuje coraz lękliwiej, wyraźnie już zdąża do rozbicia; rzuca się jak ryba na piasku, spędzony z krainy marzeń ugodowych na grunt rzeczywistości. Nie utrwala jego wątłego bytu ostatnie polityczne zjawiska. Poprostu jest on dzisiaj bezsilnym, swoją bezpłodnością zniweczył swoją przyszłość. Nie znajdzie dziś bezwątpienia najsłabszego nawet oparcia w społeczeństwie polskiem. A zaś czynniki obce nie uwierzą, by dał to, co obiecuje. Ale mimo wszystko nie można tolerować zgubnych i kompromitujących zabiegów. Jest naszym obowiązkiem nie dopuszczać nigdy pozorów, że znikoma garść zbyt rezolutnych polityków może utrwalać obce wpływy polityczne, może nas związać na naszej ziemi. Dziś nie znaczy nic oportunizm warszawski. Trzeba umieć ofiarować przelotne, zresztą fikcyjne korzyści. Należy znowu przypomnieć raz na zawsze, że dla uzyskania prawdziwej niepodległości wszystko trzeba rzucić. Sprawy tak doniosłej nie można związać z polityką warszawskich różnych gabinetów znikomo skuteczną i nieumiejętną, a przedewszystkiem bezcelową.

*
* *

Przed niedawnym czasem ogłosiło angielskie ministerstwo spraw zagranicznych następujące wyjaśnienie w sprawie roli i charakteru Narodowego Komitetu Polskiego:

Polski Komitet Narodowy nie był nigdy uznany przez sprzymierzone państwa jako rząd polski. Będąc jednakże w rzeczywistości przedstawicielem żywiołu polskiego, przeciwnego wszelkiemu kompromisowi z centralnemi państwami, jest on jedynym miarodajnym czynnikiem, któryby się nadawał do roli pośrednika pomiędzy państwami sprzymierzonemi a zrzeszeniami polskiemi za granicą i stosunki z nim, dotyczące spraw bieżących polskich, były dotychczas pod każdym względem zadowalające. W każdym razie jednakże staraniem królewsko-angielskiego rządu było zawsze nie pozostawiać żadnych wątpliwości co do tego, że rząd angielski nie wiąże się żadnymi osobistymi poglądami któregokolwiek członka komitetu i że przeciwnie pragnie, by komitet mógł sferę swych wpływów tak dalece rozszerzyć, że uznaćby go można było jako rzecznika wszystkich polskich partyj politycznych.

Wybitni członkowie Komitetu Narodowego byli wszędzie w ciągu wojny obecnej dla państw sprzymierzonych współpracownikami, na których polegać było można i rzecz naturalna, że rządy tych państw skłonne są pracować z nimi nadal, jako z przedstawicielami organizacyi państwowej, z chwilą, gdy okaże się potrzeba takich pertraktacyj z miarodajnym czynnikiem politycznym, powołanym do reprezentacyi sprawy polskiej. Pozatem nie było dotychczas żadnej innej instytucyi polskiej, która byłaby zdolna i gotowa podjąć się tego rodzaju pracy i któraby szukała odpowiedniego uznania swych kompetencyj".

Powyższe wyjaśnienie zostało prawdopodobnie wywołane przez usiłowania polskich czynników, które chciały Komitetowi Narodowemu poderwać wszelki autorytet. Nie będą one zadowolone z tego komunikatu. Te gorszące usiłowania, polegające na wytaczaniu przed obcymi wewnętrznych polskich sporów, datują się nie od dzisiaj. Przypominamy sobie dobrze jeden z najbardziej jaskrawych przykładów tej agitacyi, ujawniony po wybuchu rewolucyi rosyjskiej: oto p. August Zaleski w Londynie, działający tam z ramienia „Polskiego Biura Prasowego" z Berna (dawna ajencya N. K. N.) wniósł na ręce rosyjskiego posła Nabokowa memoryał, oskarżający R. Dmowskiego o niebezpieczne dla Rosyi plany eks-

pansyi na... Wschodzie! Wogóle ludzie, którzy oświadczają się za różnemi centralnemi „rozwiązaniami“, nie ograniczają się do politycznych działań na berlińskim i wiedeńskim terenie, lecz próbują pokątnie nawiązać stosunki w krajach koalicyjnych, zbliżyć się do tamtejszych żywiołów pacyfistycznych i za ich pośrednictwem starają się przekonywać narody Zachodu, że opinia polska bynajmniej nie oświadcza się za jakimś „maksymalnym“ programem, lecz zadowolni się ciaśniejszem „rozwiązaniem“. Nadto domagają się od polskich żywiołów, które działają na terenie krajów koalicyjnych, byle zaprzestały zupełnie swojej działalności, w myśl posłuszeństwa Radzie Regencyjnej.

Cała ta agitacya przeciw tworzeniu armii i tworzeniu polskich instytucyi reprezentacyjnych, naprawdę niezależnych od państw zaborczych, na szczęście spełzła na niczem. Polski Komitet Narodowy istnieje i rozwija swoją działalność. Jego przywódcy okazali na tyle taktu, że nie zechcieli występować w charakterze rządu polskiego, wzywającego wszystkich do bezwzględnego posłuszeństwa. Niemniej jednak, jak to zaznacza przytoczony angielski komitet, komitet ten stał się czynnikiem, przygotowującym budowę przyszłych polskich instytucyi państwowych. Według tego komunikatu, rządy państw sprzymierzonych gotowe są współdziałać i nadal z członkami Komitetu Narodowego „jako z przedstawicielami organizacyi państwowej z chwilą, gdy okaże się potrzeba takich pertraktacyi z miarodajnym czynnikiem politycznym, powołanym do reprezentacyi sprawy polskiej“.

To urzędowe wyjaśnienie przychodzi w samą porę. Nasz aktywizm zmienia dzisiaj swoje oblicze. Przed niezbyt dawnym czasem ciskał gromy na koalicyę. Wykazywał obłudę Anglii, obojętność Francyi, północno amerykańską blagę. Zwiedziony fałszywą oceną sytuacyi politycznej, gotów był wziąść udział w pogrzebie planów zwycięstwa koalicyi. Rachubom na kongres pokojowy, na udział zachodnich mocarstw w rozstrzygnięciu sprawy polskiej, odmawiał wszelkiego znaczenia. Obecnie aktywizm chce, tak jak i dawniej tworzyć polskie państwowe organizacye. Ale coraz częściej zjawia się argument, że ta budowa polskich władz jest przygotowaniem czynniejszego udziału Polski na pokojowym kongresie, na którym ostatecznie zostanie rozstrzygniętą sprawa polska. Aktywiści dzisiaj nie wzdragają się na myśl, że trzeba będzie mówić

z przedstawicielami zachodniej koalicyi, przeciwnie, gotowi są podjąć się tej roli, ale przemawiają za jaknajszybszą organizacyą władz w Królestwie Polskiem, by „koalicya miała z kim mówić". W zmienionych warunkach zdecydowani są rokować w Londynie i Paryżu z równym zapałem, z jakim niedawno temu rokowali i dziś jeszcze rokują w Berlinie i Wiedniu.

Jeżeli te żywioły aktywistyczne liczą na to, że byt swój zdołają przedłużyć poza dzisiejszy okres życia politycznego w Królestwie, jeżeli przypuszczają, że potrafią się utrzymać i po decydujących rozstrzygnięciach, to oddają się bardzo naiwnym złudzeniom. Można było prowadzić, póki istniał dawny porządek w Rosyi, bezwzględnie ugodową politykę, a dzisiaj z równym zapałem kręcić się wokoło berlińskich sfer rządowych, ale na tem trzeba już kończyć karyerę polityczną. Ta bogata polityczna przeszłość zbyt silnie ciąży na tych ludziach, by oni nadawali się do eksportu na Zachód. W czasach, które nadchodzą, będą oni przeżytkiem. Nie trzeba będzie wogóle podejmować walki z stronnictwami aktywistycznemi; rozlecą się same, pod podmuchem wiosennego wiatru zachodniego, te grupki osób, tak liczne, że nie ma w nich zwyczajnych członków. a są tylko kandydaci na naczelne stanowiska. I niepotrzebnie kłopoczą się niektórzy aktywiści: państwa zachodnie będą miały z kim mówić, bo już dziś mówią, a ich oferta nie zostanie uwzględniona.

*
* *

Rada Regencyjna mianowała swoim przedstawicielem w Rosyi p. Al. Lednickiego, który przez rozbijanie armii polskiej, przez wyrzekanie się ziem odwiecznie polskich, nieszczególnie się narodowi przysłużył. Ale mniejsza o jego osobę. Chodzi o samą rzecz. Pan Lednicki miał być przedstawicielem tworzącego się państwa polskiego przy rządzie bolszewickim. Nie stało się tak o tyle, że rząd bolszewicki nie uznał ani Rady, ani jej przedstawicielstwa w Rosyi. Odmówił p. Lednickiemu praw posła. Dziwna rzecz, że ten rząd zastosował ściśle patent, który odmawia Radzie Regencyjnej prawa zagranicznej reprezentacyi. Niemcy, mimo obustronnej sympatyi, łączących ich z p. Lednickim, nie ujęli się za jego prawami, jakkolwiek ich interwencya byłaby skuteczna, gdyż bolsze-

wicy są posłuszni na każde ich skinienie. P. Lednicki wykonuje swoje funkcye w sposób nieoficyalny.

Za ustanowieniem poselstwa w Rosyi przemawiać mogły dwa rodzaje argumentów. Jedne natury formalno-zasadniczej. Chodzi tu o dopuszczenie do społeczności międzynarodowej tworzącego się dopiero państwa, o jego uznanie. Rada Regencyjna zapragnęła tego uznania na Wschodzie, gdy Zachód, bliższy i dalszy pozostał dla niej zamkniętym. Ale tutaj bolszewicki charakter rządu moskiewskiego przedstawia pewne trudności. Jeżeli ktoś stara się o uznanie u bolszewików, to *eo ipso* uznaje ich za władców Rosyi. Bolszewicy są w poniekąd analogicznem położeniu, jak Rada Regencyjna: nie mają dostatecznego oparcia ani na zewnątrz, ani na wewnątrz. Władzę bolszewików znosi coraz mniejsza część Rosyi, a zaś poza jej granicami nie cieszą się oni szczególnem uznaniem. Właśnie nawiązanie formalnych stosunków dyplomatycznych z jak największą liczbą państw było celem bolszewickiej polityki zagranicznej, mogło przyczynić się do podniesienia jej autorytetu także na wewnątrz. Wzdragają się przed tem zarówno państwa koalicyjne, jak i neutralne, redukując do minimum swoje stosunki z bolszewickim rządem. Sprawy, które trzeba koniecznie załatwić, załatwiają za pośrednictwem konsulów, nie chcąc używać pośrednictwa właściwej służby dyplomatycznej. Próby wysłania formalnego przedstawicielstwa do Rosyi nie bardzo licują z opinią, jaką warszawskie „rządzące“ sfery mają o bolszewiźmie. Przypuśćmy, że bolszewicy zgodzą się na akredytowanie posła warszawskiego rządu przy swoim rządzie. Ale logiczna konsekwencya tego jest ta, że mogą oni wysłać do Warszawy swojego posła. W ten sposób otwiera się drogę dla agitacyi jakiegoś p. Joffego lub Radka w Warszawie, który tu czułby się o wiele swobodniej, niż w Berlinie i Wiedniu. Czy ten gość byłby miłym i chętnie widzianym na gościnnych salonach członków Rady Regencyjnej? W każdym razie nie należało się zbytnio spieszyć z tą wschodnią dyplomacyą.

Ale mógłby ktoś powiedzieć, że trudno wszystko oceniać z tak szerokiego punktu widzenia, że przecież obrona tak zagrożonych polskich interesów w Rosyi wymagała interwencyi. Rozumowanie to jest słuszne, pod jednym jednak warunkiem: że ta interwencya jest na prawdę skuteczną. Gdyby polski przedstawiciel zdołał uzyskać choć część tej powagi, którą u bolszewików ma przedstawiciel niemiecki, to opłaciłaby się nieprzyjemność, po-

łączona z utrzymywaniem „przyjaznych“ stosunków z bolszewikami. Ale bolszewicy nietylko z p. Lednickim się nie liczą, lecz dopuszczają się wobec niego jawnych afrontów, które w innych warunkach odczutoby jako obrazę reprezentowanego państwa. Mordują spokojnie obywateli polskich, a p. Lednicki śle „noty“ i „protesty“. Nie pozostaje mu wprawdzie nic innego do roboty — ale czyż przyczynia się to do podniesienia autorytetu budującego się państwa? Jeżeli coś można zrobić w Moskwie lub innej siedzibie bolszewizmu, można to zrobić rozmaitemi drogami, lecz nie przez poselstwo polskie. Pocóż więc podtrzymywać fikcyę, zaszczytną dla bolszewizmu? Czy nie byłoby lepiej zaprzestać tej „przedstawicielskiej“ komedyi?

Ale do tego nie dojdzie. Prasa i nadal pisać będzie o p. Lednickim, jako o „ambasadorze polskim“ w Rosyi. Bo ten ambasador jest zupełnie utrzymany w stylu instytucyi, tworzonych w Warszawie, pozostaje w harmonii z ich ogólnym charakterem. Mamy w Warszawie ministerstwo skarbu, które nie ma skarbu, a tylko dostaje od czasu do czasu papierki od władzy okupacyjnej. Mamy ministerstwo spraw wewnętrznych, które opracowuje projekty na przyszłość, ale mniej znaczy w sprawach wewnętrznych niż pierwszy lepszy Kreiskommandant w miasteczku. Mamy departament spraw politycznych, przeznaczony dla zagranicznej polityki, który nie ma prawa posługiwania się nawet własnymi kuryerami. Dlaczego nie mamy mieć na Wschodzie „ambasadora“, którego nie uznają nawet... bolszewicy?

* * *

„Czytaliście, co się stało w Moskwie. Myślę o potężnem sprzysiężeniu przeciw nowemu rządowi. Anglicy, naród parlamentarny i demokratyczny, starają się utrącić ultrademokratyczny rząd, ustanowiony przez naród rosyjski, a to tylko dlatego, że ten rosyjski rząd dba o interesy narodu i chce mu zapewnić pokój, o który ten naród woła“.

Ten sąd o bolszewikach wydał cesarz Wilhelm II, w przemowie do robotników w Essen.

* * *

Od chwili, gdy Bułgarya wpadła na Serbię i zaczęła odnosić łatwe sukcesy wojenne, stała się przedmiotem podziwu ze strony naszych aktywistów. Pisma takie jak „Czas", „Wiadomości Polskie" obszernie informowały o metodach bułgarskiej polityki. Bez ustanku wskazywano na ten kraj, jako na wzór, godny naśladownictwa. Radosławow, rozpoczynając wojnę, nie oglądał się na „Sobranje", wpakował do kryminału część jego członków, między nimi obecnego premiera Malinowa i w ten sposób uzyskał większość dla swojej polityki. To energiczne działanie zyskało poklask naszych polityków N. K. Nowych, który chętnieby zastosowali u nas podobny sposób postępowania. Wskazywano na to, że Bułgarya etapami zmierzała do zjednoczenia, że w każdej chwili starała się osiągnąć to, co się da osiągnąć, nie wypowiadając po doktrynersku maksymalnych programów. Chwalono jej poczucie rzeczywistości, jej zmysł polityczny. Zachęceni widocznie temi pochwałami, wystąpili politycy bułgarscy wprost z naukami pod naszym adresem. Między innemi były premier Radosławow z słowiańską czy turańską otwartością wytknął nam nasze wady, naszą niechęć do stanowczych decyzyi, nieudolność w tworzeniu wojska, brak energii w działaniu i oporność w porozumieniu się z państwami centralnemi.

Obecnie Bułgarya powzięła stanowcze decyzye, zupełnie w swoim stylu. Co na to powiedzą nasi mentorowie? Czy i obecnie każą nam iść za jej przykładem? Czy ten realizm polityczny znajdzie u nich uznanie? Zrozumieją chyba, po niewczasie, że to wszystko co się robi na wschodzie, wszystkie „fakta dokonane", które za wszelką cenę chce stwarzać aktywizm, mają bardzo przelotne znaczenie. Są to wszystko domki z kart, które nie mają najmniejszej trwałości, które zwalą się za jednym podmuchem. Pokazuje się, że ta Serbia, która, choć zgruchotana, nie wyciągnęła ręki o pokój, prowadziła bardziej realną politykę, gdyż oceniała sytuacyę z szerszego punktu widzenia, nie zaś według natychmiastowej korzyści. Uparty maksymalizm, wiara w przyszłość mimo bezpośrednich niepowodzeń, okazały się bardziej przewidującemi, niż oddawanie swego losu w ręce chytrego, a żądnego zdobyczy sojusznika. I już nie usłyszymy powtarzanych do znudzenia lekcyi na temat Bułgaryi. I nudne staną się te nauki, gdyż braknie wzorów, przykładów do naśladowania, któreby można stawiać przed oczy „niewyrobionemu" politycznie społeczeństwu... Ale prawda,

jest teraz aktywizm ukraiński, finlandzki i tym podobne. Lepiej jednak i tymi przykładami operować ostrożnie!

* * *

Dzienniki przyniosły nam wiadomość, że ban chorwacki zakazał wydawania nowych pism politycznych, trochę dla braku papieru, a głównie... tak — na wszelki wypadek. Wiemy także, że era Seidlera zatamowała wydawnictwo wielu pism codziennych w Czechach. Musimy jednak po sprawiedliwości powiedzieć, że w Galicyi jest inaczej. Wprawdzie znikło z horyzontu parę pism zbyt śmiałych i buntowniczych, wprawdzie hula u nas cenzura wesoło, weselej może niż gdzieindziej, zarazem u nas dzieje się coś dziwnego. Oto od chwili, kiedy po pokoju brzeskim całe społeczeństwo w Galicyi znałazło się nagle w obozie opozycyjnym, porywając za sobą prasę, od chwili, gdy zawalił się gmach tradycyjnej przyjaźni galicyjsko-wiedeńskiej, przerywając miłosne pienia liryków N. K. N-u — od tej chwili na tych ruinach zaczyna zwolna wykwitac „nowe życie".

Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej powstają oto na gruncie galicyjskim nowe organy codzienne o wspólnej, idyllicznie ugodowej fizyognomii i ze wspólną nieskazitelnie „patryotyczną" oryentacyą. Zewnętrznie poznać je można po obfitości papieru, po szczupłej ilości czytelników, oraz po nielicznych lecz dużych i dobrze płatnych anonsach.

Istotnie, nowe czasy wymagają n o w y c h gazet i n o w e j taktyki. Porównywując los naszej prasy z prasą czeską czy południowo słowiańską możemy się cieszyć, że taktyka wobec nas stosowana jest łagodniejszą dla nas, choć — kosztowniejszą dla Wiednia.

Co prawda, wydaje też lepsze rezultaty.

* * *

Niema pono na świecie nędzniejszej prasy nad wiedeńską. Zabójcza wielomówność w połączeniu z rozbrajającą bezkrytycznością, silnie wspieraną przez cenzurę, wojenno-patryotyczny sentymencik i tanie senzacye, oto co charakteryzuje te bezbarwne, niewolnicze dzienniki, wśród których jedna może tylko „Arbeiter Zei-

tung" pisze z jakiem takiem zachowaniem godności własnej, nie puszczając się na pseudopatryotyczne fantazye. Ten też dziennik w każdym prawie numerze używa sobie na kwiatkach stylu i *sui generis* sensacyach „szmoków" wiedeńskich.

Jest przekleństwem prasy galicyjskiej, że codziennie karmić się musi mdłą strawą dzienników wiedeńskich i na świat patrzeć przez wiedeńskie okulary. Ileż to nonsensów przeszło przez prasę galicyjską tylko dzięki temu, że bezkrytycznie przyjmowano za prawdę rewelacye jakiegoś „Neues Wiener Journal" i t. p. sensacyjnych piśmideł.

Takie n. p. „opinie neutralnych"?

Neutralnych jest już bardzo mało, ale jeszcze mniej jest dzienników, które dla prasy wiedeńskiej, a za nią i dla naszej uchodzą za „neutralne". Takim nieskazitelnie neutralnym sędzią szwajcarskim jest dla nas z konieczności jakiś „Berner Intelligenzblatt", który w Bernie, mimo szumnej nazwy, cieszy się największem powodzeniem u dorożkarzy, żaden inteligent bowiem go nie czyta. W Holandyi takiem „neutralnem" pismem jest „Nieuwe Rotterdamsche Courant", jedyny zdaje się organ holenderski, który nie znalazł jeszcze zmazy na szlachetnem obliczu Niemiec współczesnych.

Oto pokarm duchowy gazet wiedeńskich i ostrawskich, a za niemi i galicyjskich. Cóż dziwnego, że przewijają się przez naszą prasę najdziksze w świecie wiadomości. Toż niedawno na wstępie popołudniowego numeru jednego z „poważnych" krakowskich pism codziennych widniała wiadomość z „Anglii", że „Lloyd George" jedzie incognito do Berlina, by rokować o pokój! Raz po raz przynoszą nasze pisma w ślad za wiedeńskimi informatorami ponure wieści o głodzie — w Anglii, o groźnych rozruchach — we Włoszech, o dezerterach, ukrywających się — na Sycylii, o powstaniu w Indyach, które wisi jakoby na włosku. Tłum czyta, czyta i nie może wyjść z podziwu, że cała *ententa* nie rozwaliła się od takich ciosów, ten poczciwy, bogobojny, niewinny tłum czytelników, który nie wie co to głód, nie słyszał nigdy o rozruchach poza *ententą* i nie widział nigdy — dezertera!

Difficile est satiram non scribere. *m.*

* * *

Niemiecki sekretarz stanu, Hintze, podał przed paru dniami warunki, na podstawie których Niemcy rozpoczynają nowe rokowania w sprawie Królestwa Kongresowego, którą, niestety i u nas także, nazywa się sprawą „polską“. Na pierwszy plan w tem oświadczeniu, wysunęły się gospodarcze postulaty Niemiec, które z jednej strony oznaczają zwyczajny podbój Królestwa, z drugiej dążą do niezwykłego uprzywilejowania ludności niemieckiej. W szczególności bardzo mocno podkreślił Hintze niemieckie prawa do osadnictwa i nabywania ziemi. Ta ostatnia kwestya nie jest czysto teoretyczną. Jest ona już dzisiaj aktualną. I bardzo ciekawy *pendant* do deklaracyi Hintzego stanowi artykuł p. Stefana Plewińskiego, zamieszczony w jednym z ostatnich numerów „Głosu Lubelskiego“. Podane w nim fakty są tak znamienne, że warto ten artykuł przytoczyć w całości:

„Do jak wielkich strat doprowadzają nas warunki polityczne w jakich obecnie żyjemy, dowodem są fakty, które codziennie prawie spotykamy, a które dzieją się przy naszym współudziale i z całą świadomością, że Polsce dzieje się wielka krzywda i to bardzo wielka.

W ostatnich czasach takich faktów spotykamy wiele, a najboleśniejsze z nich to przechodzenie ziemi polskiej w obce ręce, to oddawanie majoratów bezprawnym ich właścicielom. Prawo nasze nie zna paragrafów, któreby zabezpieczały uszczuplanie ziemi polskiej, a wydartą nam kiedyś ziemię i zrabowane majątki narodowi polskiemu zwróciły. Tak, to fakt, że prawa takiego jeszcze niema, wierzymy, że sejm polski prawo takie wyda — czy jednak dlatego, że prawa j e s z c z e niema, należy opierać się na prawie, wydanym przez obce nam i wrogie rządy, ku zgubie Polski ukutym; czyby nie należało pamiętać, że poza Kodeksem Napoleona i Zbiorem Praw, istnieją jeszcze inne prawa, a najwyższe z nich — to dobro Rzeczypospolitej?

Jakim sposobem rząd polski i jego funkcyonaryusze mogą opierać się o paragrafy, które godzą w najżywotniejsze interesy Polski? Wszak pierwszym kardynalnym warunkiem budowy Państwa Polskiego jest utrzymanie ziemi polskiej w rękach narodu polskiego, a nie wogóle obywateli Państwa Polskiego, bo wtedy charakter tego państwa łatwo mógłby przestać być polskim. Czyż nie należy choćby mocą tymczasowego zarządzenia z a w i e s i ć paragrafy, które taką wyraźną krzywdę i szkodę państwu przyno-

szą, temu państwu, stróżem dobra którego jest królewsko polski rząd?

Siłą wypadków wtłoczeni jesteśmy w bardzo ciężkie warunki polityczne, warunki kierowania zbiorowym życiem narodu, ale pomimo to nie może chyba rząd polski obojętnie patrzeć na pomniejszanie własnej Ojczyzny. Wszak pewną grupę ludzi, która zgadza się na zamknięcie przyszłego państwa polskiego w szczuplejszych granicach, nazywają powszechnie pomniejszycielami Ojczyzny. A czyż nie są takimi pomniejszycielami ci, którzy świadomie pomagają do przechodzenia ziemi w obce ręce? Społeczeństwo samo broni się jak może, zestawia i ogłasza czarne listy, ale czyż to jest środek wystarczający? Tu samopomoc społeczna nie wystarczy, tu musi istnieć zakaz sprzedawania obcym ziemi polskiej. Naturalnie, że sprawa ta tylko drogą ustawową może być załatwiona ostatecznie i być może, że sejm polski zajmie w tej sprawie bardziej liberalne stanowisko, że nie zechce ograniczać nikogo ze swych obywateli, ale to stanie się dopiero wtedy, kiedy naród polski będzie już miał swoje przedstawicielstwo, kiedy już zapanują normalne stosunki; ale dzisiaj, kiedy panuje jeszcze zupełny chaos, kiedy nie możemy nawet stwierdzić, kto jest obywatelem Polski, a kto nim jeszcze nie jest, kiedy przez bardzo wielu ludzi te stosunki dla osobistych celów są wyzyskiwane, dzisiaj takie sprawy, które godzą w najżywotniejsze interesy narodu, winny być na razie wstrzymane.

Czy rząd polski nic w tej sprawie niema do powiedzenia i do zrobienia? Dlaczego już dzisiaj rząd polski zmusza swoich funkcyonaryuszy, żeby w tranzakcyach takich czynny brali udział, żeby rejent pisał akty kupna-sprzedaży, a król.-polski sąd wyrokował o oddaniu ziemi polskiej bezprawnym właścicielom, i to przy pomocy adwokatów polskich, którzy w obronie praw tych obcych właścicieli stają? Ziemi wszak za dużo nie mamy. Masy bezrolnego i małorolnego ludu oczekują od Sejmu polskiego na uregulowanie sprawy agrarnej. Ziemi trzeba będzie dużo i dobrze by było, gdyby już dziś tworzyć tę rezerwę czy to z majoratów, czy nawet z prywatnych majątków przez samych właścicieli na sprzedaż wystawianych. Ponieważ tych majątków państwo polskie na razie nabyć nie może, to jednak mogą one pozostawać pewien czas w administracyi państwowej, do czasu uregulowania tych spraw przez Sejm polski.

Ale do Sejmu daleko, a tymczasem niema dnia prawie, aby się ziemia polska nie kurczyła. Należałoby jaknajspieszniej wydać tymczasowe specyalne rozporządzenie, aby 1) osobom niepolskiej narodowości nie wolno było ziemi polskiej kupować i 2) aby wszystkie majątki donacyjne poduchowne i te prywatne, które sami właściciele do sprzedania zadeklarują, były narazie oddane pod zarząd administracyi państwowej, a dopóki jej niema, to czasowo pod zarząd instytucyi społecznych lub samorządowych. Zrozumiałe są bardzo wielkie trudności z uregulowaniem tych spraw związane, ale zrozumiałem być musi również i to, że nie może żaden naród kierować się w życiu zbiorowem takiemi prawami, które wyraźnie ku zgubie własnej prowadzą i że dla zabezpieczenia się przed tą zgubą, przed pomniejszaniem ziemi polskiej, wszelkie trudności muszą być pokonane, bo jednak nie można zapominać, że *lex suprema* — to *salus rei publicae*".

Powyższy artykuł rzuca bardzo ciekawe światło na stosunki, panujące w Królestwie, na charakter pracy, rozpoczętej przez czynniki rządowe. Praca ta odbywa się pod hasłem zachowania dla polskości wszystkiego co polskie, ratowania tego co da się ratować, pod hasłem realnych zdobyczy. Mimo to rząd warszawski umie zaniedbywać rzeczy bardzo realne. Nie dlatego, by o nich nie wiedział, lecz dlatego, że trzeba je poświęcić dla innych wyższych celów. W ten sposób godzi się na wiele rzeczy, krzywdzących kraj, byle tylko nie drażnić okupantów, byle tylko nie utrudniać rokowań. Ma się wrażenie, że wszystko co się robi w Warszawie, dostosowane jest do tego celu. I tylko przez chwilę można się było łudzić co do tego, że rząd warszawski na prawdę pozytywnie będzie organizował życie państwowe Królestwa, że skupi swoją uwagę na wewnątrz. Wypadki poszły innym torem. Wkroczył on na śliskie pole zagranicznej polityki i znalazł się na równi pochyłej. Nic dziwnego, że budzi się coraz większy krytycyzm, że coraz większa liczba ludzi uświadamia sobie wewnętrzną pustkę całej tej roboty, a zaniedbywanie spraw naprawdę aktualnych i pilnych. Jednym z dowodów tego — których wiele można zgromadzić — jest przytoczony tutaj artykuł p. St. Plewińskiego.

AUGUST BÁLASITS

Bolesnem echem odbiła się w wielu sercach wieść o śmierci ś. p. Augusta Bálasitsa. Spodziewano się jej wprawdzie od dawna, ale nikt nie przypuszczał, by przyszła ona po skołatanego wiekiem i chorobą starca wśród gorącego lata i bujnej krasy dni lipcowych.

Najboleśniej odczuli tę śmierć ci, których los, jak niżej podpisanego, zbliżył do osoby dawnego rektora uniwersytetu lwowskiego. Bo nie ulega wątpliwości, że nawet dalej od niego stojący sympatyzowali ze starcem o wytwornem obejściu, dziwnej powadze duszy, prostocie słowa i bezinteresowności czynu.

Albowiem Bálasits ujmował tymi przymiotami każdego. Dla przyjaciół miał zaś młodzieńcze ciepło, przywiązanie, o które rzadko w dojrzałem dziś pokoleniu. To przywiązanie okazywał słowem, piórem, myśleniem, to przywiązanie okazywał im do ostatnich chwil życia, jak gdyby bez przyjaźni żyć nie mógł i nie chciał.

Uczony o dużej wiedzy z zakresu procesu cywilnego, oczytany w historyi i filozofii moralnej, uważał przecież wiedzę za środek w działaniu praktycznem. Ponad wiedzę, która jest udziałem wielu, kładł cnotę, sprawiedliwość, stawiał cnotę miłości bliźniego w myśl Cycerońskiej tezy: *placet optiora esse naturae ea officia, quae ex communitate, quam ea, quae ex cognitione ducantur.*

Miał zaś swoje zasady, z któremi się nie krył. Nie był bowiem oportunistą, nie uwielbiał siły, ale prawo naturalne, prawo narodów do życia, prawo jednostki do osiągnięcia w społeczeństwie tego znaczenia, na jakie jej zdolności pozwalają. Był mężem

prawym, mężem usposobionym niezależnie, mężem, czującym demokratycznie i wypowiadającym się śmiało i otwarcie.

Jego prawowierność katolicka nie była nigdy zaczepną. Płynęła z gorącego przekonania, objawiała się aktami kornej skruchy i gorącej modlitwy. Wracał po tych aktach do domu uszczęśliwiony i pełen wewnętrznego rozpogodzenia. I pragnął, by zasady chrześcijańskie panowały w życiu narodów i w stosunkach między ludźmi. Chciał, by one były wiecznem zadaniem, by wywodziły ludzkość poza okręg, w którym żyje ona ciągle i napełniały ją tęsknotą do nowego porządku.

Ten pogląd wyznawał w młodości, nie zmienił go w wieku dojrzałym, gdy osiągnął dostojne stanowisko wychowawcy młodzieży prawniczej, dochował go do lat późnych. Na życie nie skarżył się nigdy, chorobę, która nawiedziła go dopiero w ostatnich latach, znosił ze spokojem filozofa. I czekał wiosny, którą jego oko miłośnika natury, witało zawsze z rozrzewnieniem. Gdy mu ciężko było na sercu, chronił się nawet w zacisze podmiejskie z książką w ręku i karmił się mądrością wieków starożytnych oraz ciszą natury, która wiąże nas z nieskończonością.

I wtedy powtarzał ze Seneką: *Non es admonendus neminem bonum esse nisi sapientem.* Ale nie obojętniał dla spraw świata. Tym światem była dla niego Polska, którą kochał w pokoju, kochał w czasie wojny. Za czasów pokoju związał się z ludźmi, których celem było przeciwstawić coraz popularniejszemu hasłu „ludzkość", stare hasło „ojczyzna". Że zaś rozbiory stworzyły z nas jakby trzy narody, usiłowali oni przeciwdziałać wewnętrznemu rozbiorowi, budzić myśl o całości w masach, bronić niezależności duszy polskiej od wpływów zewnętrznych i nie wyrzekać się tego, co polskiem było i jest. Z nimi pracował, do nich lgnął, szczęśliwy, gdy mógł brać udział w obradach wspólnych i widzieć wzrost wpływu swych braci z wyboru.

I wtedy przyszła wojna, by przynieść niesłychany zamęt pojęć, namiętne rozprawy między ludźmi dotąd zaprzyjaźnionymi. Bálasits zachował i teraz zwykły spokój i napozór po akademicku rozstrzygał zagadnienia, nie rzadko nader drażliwe. Najwyższą cnotą, powtarzał po stoicku, jest godność. W rozumowaniach nie zatrzymywał się nigdy na powierzchni, rozbierał zagadnienie z przenikliwością godną naśladowania. Nie był optymistą, nie szedł ze złudzeniami, nie kierował się uczuciem. Patrzył trzeźwo w przy-

szłość, ostrzegał przed namiętnem rozstrzyganiem rzeczy wątpliwych. Można było o nim powiedzieć, że starość uczyniła jego duszę wolną.

I doczekał chwili, w której pierzchły złudzenia, które starano się narzucić z wielu stron jako politykę realną i liczącą się z tak zwanymi faktami. Wtedy grono ludzi dobrej woli otoczyło go w Krakowie z prośbą, by dał swe nazwisko dla przedsięwzięcia, mającego informować ogół o sprawach polskich i oceniać je nie pod kątem widzenia jednego stronnictwa lub zaboru. Zgodził się i sam wspierał pismo radą, piórem, życzliwością nawet wtedy, gdy stan zdrowia kazał mu wrócić pod opiekę najbliższych.

Żaden zaś z pewnością fakt z dziejów wojny nie wywarł na niego głębszego wrażenia od wysunięcia zasady samostanowienia. Uznaną ona została, jak wiadomo, przez obie strony walczące, odświeżyła atmosferę przepojoną krwią, gwałtami i naruszeniami prawa międzynarodowego, wzajemnemi wyzwiskami i insynuacyami. Bálasits przypomniał, że zasada Wilsona jest wznowieniem plebiscytów zastosowanych w Sabaudyi i we Włoszech. Uznano ją więc w dwóch państwach romańskich, uznano ją i w pokoju praskim między Austryą a Prusami, ale nie zastosowano, by ją pogwałcić następnie zaborem Alzacyi i Lotaryngii.

Jeżeli więc uznaje się dziś obustronnie zasadę samookreślenia, należy uchylić wszelkie aneksye dawniejsze i nowsze w imię również uznanej zasady, że państwo służy narodowi, nie zaś naród państwu. Te dwie zasady zapewnią spokój świata i zamkną epokę gwałtów i aneksyi. Przyniesie ich urzeczywistnienie zapewnie kongres pokojowy. Uwolnił się od namiętności, zgryzot, niepewności świata, doczekał się dnia, który starożytny filozof nazwał *dies aeterni natalis.* Umierałby szczęśliwie, gdyby żył choć chwilę w wolnej, zjednoczonej, niepodległej ojczyźnie. Odmówił mu tego los, jak przyjaciołom odmówił szczęścia posiadania wśród siebie męża, o którym powiedzieliby starożytni, że był prawdziwym *vir bonus.*

Tadeusz Grabowski.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: **Roman Rybarski.**

DRUKARNIA ZWIĄZKOWA W KRAKOWIE, MIKOŁAJSKA 13-15.